



Oto Baranek Boży  
który gładzi grzechy świata.

*Maria Valtorta*

# *Poemat Boga-Człowieka*

*Księga I. Przygotowanie*

*Fragmenty dzieła, Narodzenie Jezusa*

## **Spis treści.**

44. Zarządzenie spisu ludności.
45. Kochać to zadowalać tego, kogo się kocha.
46. Podróż do Betlejem.
47. Narodziny Jezusa, naszego Pana.
48. Ja, Maryja, miałam udział w odkupieniu.
49. Pokłon pasterzy.
50. W pasterzach są wszystkie cechy.
51. Odwiedziny Zachariasza.
52. Józef jest opiekunem poświęconych Bogu.





53. Ofiarowanie Jezusa Bogu w świątyni.
54. Pouczenia wynikające z poprzedniej wizji.
55. Kołysanka Dziewicy.
56. Pokłon trzech Magów.
57. Uwagi na temat wiary Magów.
58. Ucieczka do Egiptu.
59. Ból był ich wiernym przyjacielem.
60. Święta Rodzina w Egipcie.
61. W tym domu szanuje się porządek.
62. Pierwsza lekcja pracy Jezusa.
63. Nie chciałem wyłamywać się.

▲ do góry

## 44. Zarządzenie spisu ludności

(por. Łk 2,1-5)

Napisane 4 czerwca 1944. A, 2716-2724

Znów widzę domek w Nazarecie, małe pomieszczenie, w którym Maryja spożywa zazwyczaj posiłki. Szyje coś z białego płótna. Odkłada robotę i wstaje, żeby zapalić lampę. Zapada bowiem noc, a zielonkawe światło wpadające przez drzwi, szeroko otwarte na ogród, już nie wystarcza. Maryja zamyka drzwi. Widzę, że Jej błogosławiony stan jest bardzo widoczny. Jest jednak wciąż bardzo piękna. Krok ma nadal swobodny, a każdy ruch jest wdzięczny. Nie ma w Niej ociężałości, jaka zazwyczaj towarzyszy kobietom zbliżającym się do rozwiązania. Tylko twarz Jej się zmieniła. Teraz jest "niewiastą". Wcześniej, w czasie Zwiastowania, była młodziutką dziewczynką o pogodnej i nieświadomej twarzy. Miała oblicze niewinnego dziecka. Potem, w domu Elżbiety, gdy urodził się Chrzciciel, twarz Jej wysubtelniała dojrzałym wdziękiem. Obecnie ma oblicze pogodne, lecz z wyrazem słodkiego dostojęstwa niewiasty, która osiągnęła pełną doskonałość w macierzyństwie.





Teraz, ojczy, Maryja nie przypomina już drogiego nam wizerunku z kościoła Zwiastowania we Florencji. Odnajdywałam w Maryi podobieństwo z tamtego obrazu, gdy była dziewczynką. Teraz ma twarz bardziej pociągłą i szczupłą, a oczy bardziej zamyślone i większe. Wygląda tak obecnie w Niebie, jak Ją widziałam. Ma wygląd i wiek z czasu, w którym zrodziła Zbawiciela. Posiada wieczną młodość Tej, która nie zaznała zniszczenia śmierci ani upływu lat. Czas nie tknął naszej Królowej i Matki Pana, który stworzył czas. Chociaż w cierpieniu czasu Męki, która się dla Niej zaczęła o wiele, wiele wcześniej – można rzec, że zaczęła się od chwili, gdy Jezus rozpoczął ewangelizację – postarzała się tylko przez wyraz bólu. On jakby zakrył Jej niezniszczalną osobę jakąś zasłoną. Kiedy ujrzała zmartwychwstałego Jezusa, znów stała się młoda i doskonale piękna, jak przed czasem tego strasznego cierpienia. Wydaje się, że – całując Najświętsze Rany – piła z nich balsam młodości, niweczący dzieło czasu. Więcej niż tylko czasu – bólu.

Zaledwie przed ośmioma dniami miałam widzenie Zesłania Ducha Świętego: dzień Pięćdziesiątnicy. Widziałam wówczas Maryję "piękną, piękną, piękną i nagle odmłodzoną" – jak napisałam. Napisałam już, że "wydaje się aniołem z błękitów". Aniołowie nie starzeją się. Są zawsze piękni, wieczną młodością, wieczną obecnością Boga, która się w nich odzwierciedla. Młodość Maryi jest anielska: to doskonały Anioł z błękitów. Maryja – kiedy Duch zaślubia Ją jako Swą Oblubienicę i koronuje na oczach wszystkich zbawionych – osiąga doskonały wiek, jaki ma w Niebie. Zachowuje go w Swym świętym, uwielbionym ciele na wieczność. Teraz nie jest to już tajemnicą jak wtedy, kiedy dokonało się to w ukryciu, w miejscu nie znanym światu, w obecności archanioła jako jedyne go świadka.

Chciałam zrobić tę dygresję, bo wydaje mi się potrzebna. Teraz powracam do opisywania.





Teraz Maryja stała się "niewiastą", pełną godności i wdzięku. Nawet Jej uśmiech nabrał wyrazu słodyczy i majestatu. Jakaż jest piękna!

Wchodzi Józef. Zapewne wraca z osady, gdyż nie wchodzi od strony warsztatu. Maryja unosi głowę i uśmiecha się. Józef też się do Niej uśmiecha. Wydaje się jednak, że czyni to z trudem, jak ktoś zaniepokojony. Maryja patrzy na niego pytająco. Potem wstaje, bierze płaszcz zdjęty przez Józefa i kładzie go na skrzyni-ławie. Józef siada za stołem. Opiera łokcie i podpira głowę ręką, a drugą to gładzi, to targa brodę w zamyśleniu.

«Jaka myśl cię trapi? – pyta Maryja – Mogę cię pocieszyć?»

«Zawsze mnie pocieszasz, Maryjo. Jednak teraz to wielkie zmartwienie... Dla Ciebie.»

«Dla Mnie, Józefie? Jak to?»

«Na drzwiach synagogi powieszono edykt. Nakazuje spisanie wszystkich Palestyńczyków.

Trzeba iść się zapisać w miejscu pochodzenia. Dla nas oznacza to drogę do Betlejem...»

«O!» – przerywa mu Maryja kładąc dłoń na łonie.

«Przejęłaś się, prawda? To przykre. Wiem o tym.»

«Nie, Józefie. Nie. Myślę... myślę o Świętych Pismach: o Racheli, matce Beniamina i małżonce Jakuba, z którego narodzi się Gwiazda: Zbawiciel. Rachela jest pochowana w Betlejem, o którym powiedziano: "A ty, Betlejem Efrata, jesteś najmniejsze spośród miast Judei, lecz z ciebie wyjdzie Władca". Obiecany władca z rodu Dawida tam się narodzi...»

«Myślisz... myślisz, że nadszedł już czas? O! Co zrobimy?» – Józef jest bardzo przerażony. Patrzy na Maryję ze współczuciem.

Ona spostrzega to. Uśmiecha się. Uśmiecha się bardziej do Siebie niż do niego, jakby chciała powiedzieć: "To człowiek sprawiedliwy, ale tylko człowiek. Patrzy po ludzku. Myśli po ludzku. Okaż mu litość, Moja duszo, i doprowadź go do patrzenia duchem". Dobroć skłania Ją do uspokojenia Józefa.





Nie kłamię, lecz usiłuje rozproszyc jego niepokój:

«Nie wiem, Józefie. Czas jest bardzo bliski, ale czyż Pan nie potrafi opóźnić czasu, żeby pozbawić cię tej troski? On wszystko może. Nie obawiaj się.»

«Ale podróż!... Kto wie, co za tłumy! Czy znajdziemy odpowiednie schronienie? Zdażymy wrócić na czas? A jeśli... jeśli zostaniesz tam Matką? Co zrobimy?... Nie mamy tam domu i nikogo już nie znamy...»

«Nie obawiaj się. Wszystko będzie dobrze. Bóg pozwala znaleźć schronienie zwierzęciu, gdy rodzi. Myślisz, że nie robi tego dla Swego Mesjasza? Ufamy Mu. Prawda? Zawsze Mu ufamy. Im większe jest doświadczenie, tym bardziej ufajmy. Jak dwoje dzieci włożmy ręce w dłoń Ojca. On nas poprowadzi. Jesteśmy Mu zupełnie oddani. Zobacz, jak nas do tej pory prowadził z miłością. Żaden ojciec, nawet najlepszy, nie okazałby nam więcej troskliwości. Jesteśmy Jego dziećmi i sługami. Wypełniamy Jego wolę. Nic złego nie może się wydarzyć. Nawet ten edykt jest Jego wolą. Bo kimże jest Cezar? Narzędziem Boga. Od kiedy Bóg postanowił przebaczyć człowiekowi, tak ustalił wydarzenia, żeby Jego Chrystus narodził się w Betlejem. To najmniejsze miasto Judy jeszcze nie istniało, a już została określona Jego chwała. Trzeba, by ta chwała się urzeczywistniła, a Słowo Boga nie zostało uznane za kłamstwo. Tak mogłoby się stać, gdyby Mesjasz narodził się gdzie indziej. I dlatego właśnie bardzo daleko stąd powstał mocarz, który zapanował nad nami. Teraz chce on poznać swoich poddanych, właśnie teraz, kiedy na świecie panuje pokój... O, czymże jest nasz mały trud w porównaniu z pięknem tego okresu bez wojny! Pomyśl, Józefie. Czas bez nienawiści na świecie! Czy może być szczęśliwsza godzina dla wzejścia "Gwiazdy", której światło jest Boże, a wpływ odkupieńczy? O, nie bój się, Józefie! Jeśli drogi będą niepewne, jeśli tłum utrudni nam podróż, aniołowie staną się obroną i opar-





ciem. Nie dla nas, lecz dla ich Króla. Jeśli nie znajdziemy schronienia, osłonią nas skrzydłami. Nic złego nas nie spotka. Nic nie może się wydarzyć: Bóg jest z nami.»

Józef patrzy na Nią i słucha, uszczęśliwiony. Zmarszczki wygładzają się na jego czole. Powraca uśmiech. Wstaje bez zmęczenia i troski. Uśmiecha się:

«Błogostawiona, jesteś Słońcem dla mojego ducha! Błogostawiona, bo umiesz zobaczyć wszystko w świetle łaski, której jesteś pełna! Nie traćmy więc czasu. Trzeba jak najszybciej jechać i jak najszybciej wracać, bo tu mamy już wszystko przygotowane na... dla...»

«Dla naszego Syna, Józefie. Za takiego ma uchodzić w oczach świata, pamiętaj. Ojciec Niebieski otoczył tajemnicą Jego przyjście i nie do nas należy uchylać jej rąbka. Zrobi to Jezus, gdy nadejdzie pora...»

Nie można opisać piękna twarzy Maryi, Jej spojrzenia, wyrazu i głosu, kiedy mówi: "Jezus". To już ekstaza.

I na tej ekstazie widzenie się kończy.

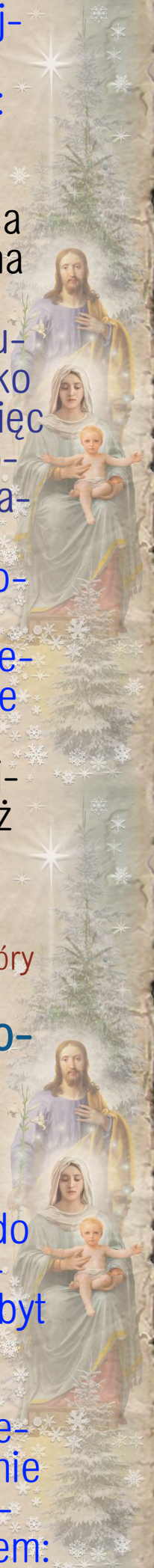
▲ do góry

## 45. Kochać to zadowalać tego, kogo się kocha, ponad zmysłami i własną korzyścią

Tego samego dnia. A, 2724-2727

Mówi Maryja:

«Nie dodaję wiele, bo Moje słowa skierowane do Józefa są już wystarczającym pouczeniem. Zwracam jednak uwagę małżonek na jedną sprawę. Zbyt wiele związków małżeńskich dosięga rozbicie z winy małżonek, które nie mają miłości będącej wszystkim: delikatnością, współczuciem, umocnieniem małżonka. Na mężczyźnie nie ciąży cierpienie fizyczne, które obciąża niewiastę. Jednak spoczywają nanim wszystkie troski związane z działaniem:





konieczność pracy zarobkowej, podejmowanie decyzji, odpowiedzialność przed władzami i we własnej rodzinie... O, ileż spraw spoczywa na mężczyźnie! I jakże potrzebuje on umocnienia! Tymczasem egoizm kobiety jest taki, że mężczyźni zmęczone-mu, zniechęconemu, przygnębionemu, zaniepokojonemu, żona dorzuca często ciężar niepotrzebnych, a niekiedy niesłusznych narzekań. A wszystko to dlatego, że jest egoistką. Nie kocha.

Kochać – nie znaczy zaspokajać samego siebie w tym, co dotyczy zmysłów i jakiejs własnej korzyści. Kochać znaczy zadowalać tego, kogo się kocha – ponad zmysłami i własną korzyścią – dając jego duchowi potrzebną mu pomoc, aby mógł zawsze trzymać rozpostarte skrzydła na niebiosach nadziei i pokoju.

Druga sprawa – o której już mówiłam, a na którą zwracam uwagę i kładę na nią nacisk – to zaufanie Bogu. Ufność jest powiązana z cnotami teologicznymi. Jeśli bowiem ktoś ufa, to znak, że ma wiarę. Jeśli ktoś ufa, to znaczy, że posiada nadzieję. Jeśli ktoś ufa komuś, to znak, że kocha. Kiedy ktoś kocha, wtedy ma nadzieję, wierzy w jakąś osobę, ufa jej. W przeciwnym razie – nie.

Bóg zasługuje na nasze zaufanie. Skoro okazujemy je biednym ludziom, mogącym nas zawieść, to dlaczego mielibyśmy odmawiać go Bogu, który nie zawodzi nigdy?

Zaufanie jest także pokorą. Pyszny mówi: "Zrobię to sam. Nie zdaję się na niego, bo jest niezdolny, to kłamca, despota..." Pokorny mówi: "Ufam. Dlaczego nie miałbym zaufać? Na jakiej podstawie mam myśleć, że jestem lepszy od niego?" A tym bardziej mówi o Bogu: "Dlaczego nie miałbym ufać Temu, który jest dobry? Na jakiej podstawie mam myśleć, że jestem zdolny zrobić coś o własnych siłach?" Bóg oddaje się pokornemu. Oddala się od tego, który jest pyszny.

Zaufanie jest także posłuszeństwem. A Bóg ko-





cha posłusznego. Posłuszeństwo jest znakiem, że siebie uznajemy za Jego dzieci i że Boga uznajemy za Ojca. Ale ojciec kocha tylko wtedy, kiedy jest ojcem prawdziwym. A Bóg jest dla nas Ojcem prawdziwym i Ojcem doskonałym.

Trzecia sprawa, którą chcę dać wam do przemyślenia, to stałe wspieranie się na ufności. Nic nie może się zdarzyć, jeśli Bóg na to nie zezwala. Jesteś może władcą? Jesteś nim dlatego, gdyż Bóg na to zezwolił. Jesteś podwładnym? Jest tak, bo Bóg na to pozwolił.

Staraj się zatem, o możliwy, żebyś nie zamieniał swojej potęgi w zło. Byłoby ono bowiem zawsze "twoim złem", nawet gdyby na początku mogło się wydawać, że jest złem innych. Pamiętaj też, że chociaż Bóg zezwala, to jednak nie pozwala na zło bez ograniczeń. Jeśli więc przekroczysz miarę w jakiejś sprawie, uderzy cię i zmiażdży.

Staraj się, o podwładny, uczynić z twego stanu magnes ściągający na ciebie niebiańską opiekę. I nigdy nikogo nie przeklinajcie. Zostawcie wszystko Bogu. Do Niego, Pana wszystkiego, należy błogosławienie i przeklinanie Swych stworzeń. Idź w pokój.》

▲ do góry

## 46. Podróż do Betlejem

Napisane 5 czerwca 1944. A, 2728-2739

Widzę główny trakt. Jest wielki tłok. Idą osły obciążone sprzętami i ludźmi. Inne wracają.

Ludzie poganiają zwierzęta. Kto jest pieszo, idzie szybko z powodu zimna.

Powietrze jest czyste i suche, niebo – pogodne. Wszystko widać z ostrością właściwą dniom w pełni zimy. Opustoszałe pola zdają się bardziej rozległe. Trawa pastwisk jest krótka, wysuszona zimowymi wiatrami. Na pastwiskach owce szukają odrobiny

(por. Łk 2,4-5)



pożywienia. Szukają też słońca, które wschodzi bardzo powoli. Beczą, unosząc pyszczki. Patrzą ku słońcu, jakby chciały powiedzieć: "Przyjdź prędko, bo jest zimno!" Teren staje się coraz bardziej nierówny. To prawdziwe wzgórza. Są tam kotliny pełne trawy a także stoki, doliny i górskie grzbiety. Pomiedzy nimi wije się droga w kierunku południowo-wschodnim.

Maryja jedzie na szarym osiołku, dobrze owinięta ciepłym płaszczem. Przed siodłem ma coś w rodzaju bagażnika, który widziałam już w czasie podróży do Hebronu, a na nim – kuferek z najpotrzebniejszymi rzeczami. Józef idzie obok, trzymając wodze:

«Jesteś zmęczona?» – pyta od czasu do czasu.

Maryja patrzy z uśmiechem i odpowiada: "Nie". Za trzecim razem dodaje: «Ty możesz być zmęczony, bo idziesz pieszo.»

«O! Ja? Dla mnie to nic. Myślę tylko, że gdybym znalazł drugiego osła, byłoby Ci wygodniej i jechalibyśmy prędzej. Ale go nie znalazłem. Teraz każdy potrzebuje jakiegoś zwierzęcia. Ale odwagi! Wkrótce będziemy w Betlejem. Za tą górą znajduje się Efrata.»

Milkną. Kiedy Dziewica milczy, zdaje się skupiać w wewnętrznej modlitwie. Uśmiecha się lekko, gdy nasuwa się Jej jakaś myśl. Kiedy patrzy na tłum, zdaje się nie rozróżniać w nim męża, niewiasty, starca, pasterza, zamożnego czy ubogiego. Widzi w nim to, co tylko Ona sama może zobaczyć.

«Jest Ci zimno?» – pyta Józef, bo zrywa się wiatr.

«Nie» – odpowiada Maryja.

Józef nie wierzy. Dotyka Jej stóp, które, odziane w sandały, zwisają po bokach osła, ledwie widoczne spod długiego płaszcza. Uznaje chyba, że są zimne, bo potrząsa głową. Zdejmuje z ramienia derkę i otula nią nogi Maryi. Rozciąga ją także na łono, dzięki czemu ręce będą w cieple, pod płaszczem i pod kocem.





Spotykają pasterza, przechodzącego ze swym stadem przez drogę. Idzie on z pastwiska, które znajduje się po prawej stronie, na inne, po lewej stronie. Józef pochyla się, by mu coś powiedzieć. Pasterz potakuje. Józef prowadzi więc ośła za stablem, na pastwisko. Pasterz wydobywa z sakwy prostą miseczkę i doi bardzo tłustą i mleczną owcę. Daje naczynie Józefowi, który podaje je Maryi.

«Niech was obu Bóg błogosławi – mówi Maryja. Ciebie: za miłość, a ciebie: za dobroć. Będę się za ciebie modliła.»

«Przybywacie z daleka?»

«Z Nazaretu» – odpowiada Józef.

«A dokąd jedziecie?»

«Do Betlejem.»

«Ciężka podróż dla niewiasty w jej stanie. To twoja małżonka?»

«Tak, to moja małżonka.»

«Macie się gdzie zatrzymać?»

«Nie.»

«Niedobrze! Betlejem jest pełne ludzi, przybyłych zewsząd, żeby się tam dać zapisać, albo jadących po to gdzie indziej. Nie wiem, czy znajdziecie mieszkanie. Znacie to miejsce?»

«Niezbyt dobrze.»

«Wobec tego... pokażę ci... z powodu Niej (wskazuje na Maryję). Szukajcie gospody. Będzie pełna. Mówię o niej jako o miejscu odniesienia. Jest na placu... tym największym. Główna droga was tam zaprowadzi. Nie możecie zabłądzić. Najpierw jest źródło, potem gospoda: wielka i niska, z dużą bramą. Będzie pełna. Jeżeli niczego nie znajdziecie w niej ani w innych domach, idźcie na tyły gospody, w stronę pól. Tam, na zboczu, są stajnie. Służą nieraz zdążającym do Jerozolimy kupcom do umieszczania tam zwierząt, dla których nie ma miejsca w gospodzie. To stajnie w zboczu... wilgotne, zimne i bez drzwi. Ale zawsze jest to schronienie, bo niewiasta... nie może pozostać na drodze. Może tam znaj-





dziecie miejsce, siano do spania i dla osła. I niech Bóg wam towarzyszy.»

«Niech Bóg da ci radość» – odpowiada Maryja.

Józef zaś mówi: «Pokój niech będzie z tobą.»

Wznawiają podróż. Dość szeroka kotlina ukazuje się zza skarpy, którą właśnie minęli. W kotlinie, w dole i na otaczających ją łagodnych zboczach, znajduje się wiele domów. To Betlejem. «Jesteśmy na ziemi Dawida, Maryjo. Teraz odpoczniesz. Wydasz mi się taka zmęczona!...»

«Nie. Rozmyślałam... i sądzę... – Maryja bierze Józefa za rękę i mówi z uśmiechem szczęścia: – Myślę, że właśnie czas się zbliża.»

«Boże Miłosierny! Co zrobimy?»

«Nie bój się, Józefie. Wytrwaj. Widzisz, że Ja jestem spokojna?»

«Ale bardzo cierpisz.»

«O, nie! Przepełnia Mnie radość. Radość tak wielka, tak silna, tak piękna i niepohamowana, że serce bije Mi bardzo mocno i mówi Mi: "On się rodzi! On się rodzi!" Mówi to za każdym uderzeniem. To Mój Maleńki puka do Mego serca i mówi: "Mamo, jestem tu, żeby Ci dać pocałunek Boga." O, co to za radość, Mój Józefie!»

Józef jednak nie jest radosny. Myśli o nagłej potrzebie znalezienia schronienia i przyspiesza kroku. Od drzwi do drzwi prosi o schronienie. Daremnie. Wszystko zajęte. Docierają do gospody. Jest pełna. Nawet pod prymitywnymi krużgankami, które otaczają duże wewnętrzne podwórze, znajdują się ludzie.

Józef zostawia siedzącą na osle Maryję na dziedzińcu i odchodzi, żeby szukać w innych domach. Wraca przygnębiony. Nigdzie niczego nie ma. Zapada wczesny zimowy zmierzch, który ogarnia wszystko swą zasłoną. Józef błaga właściciela zajazdu. Prosi podróżnych. To mężczyźni... zdrowi... a niewiasta ma wydać na świat dziecko. Błaga o litość. Nic. Jakiś bogaty faryzeusz patrzy nawet z wi-





doczną odrazą, a gdy Maryja się zbliża, odsuwasie, jakby podchodziła trędowata. Józef patrzy i rumieniec gniewu zalewa mu oblicze. Maryja kładzie mu rękę na przegubie dłoni i mówi ze spokojem:

«Nie nalegaj. Chodźmy. Bóg temu zaradzi.»

Odchodzą. Idą wzdłuż muru gospody. Skręcają w małą uliczkę, znajdującą się między nią a ubogimi domami. Okrążają zajazd. Szukają. Znajdują coś w rodzaju grot lub piwnic raczej niż stajni, tak są niskie i wilgotne. Najlepsze są już zajęte. Józef jest załamany.

«Hej, Galilejczyku! – woła za nim jakiś starzec – Tam w głębi, za tą ruiną, jest jeszcze jedna nora. Może tam nie ma nikogo.»

Zbliżają się do tej "nory". To rzeczywiście nora. Między gruzami ruin budowli znajduje się wąskie przejście, a za nim – grot. To raczej wydrążenie w skale niż grot. To jakby fundamenty jakiejś starej budowli, pokrytej jak dachem warstwą z gruzów i podpartych lekko ociosanymi pniami drzew.

Żeby widzieć lepiej, bo słabnie światło dnia, Józef wyjmuje z zawieszanej na pasku sakwy hubkę i krzesiwo. Zapala wydobytą z torby lampkę. Wchodzi. Wita go ryczenie wołu.

«Wejdz, Maryjo, grot jest wolna i nie ma tu nikogo prócz wołu, – Józef uśmiecha się – lepsze to niż nic.»

Maryja zsiada z osła i wchodzi do środka. Józef zawiesza lampkę na jednym z pni, służących za filary. Widać pokryte pajęczynami sklepienie oraz klepisko. To ubite i zniszczone klepisko, pełne dziur, kamieni, odchodów. Jest zarzucone żdźbłami słomy. W głębi znajduje się wół, który odwraca się i patrzy spokojnymi ślepiami. Z pyska zwisa mu siano. Znajduje się tu prymitywny stołek do siedzenia i dwa kamienie w kącie przy szczelinie. Czerń tego kąta wskazuje, że tam rozpala się ogień.

Maryja zbliża się do wołu. Jest Jej zimno. Kładzie mu ręce na karku, żeby się ogrzać. Wół porykuje,





ale pozwala się dotknąć. Zdaje się rozumieć i nawet gdy Józef odpycha go na bok – żeby wziąć z jaseł nad żłobem siano na pośłanie dla Maryi – pozwala na to. Jasła są podwójne. Z jednych karmi się wół, a wyższe to jakby półka z zapasowym sianem. Stąd właśnie bierze siano Józef. Robi też miejsce dla osła, który – zmęczony i wygłodzony – natychmiast zabiera się do jedzenia. Józef znajduje jakieś przewrócone, całe obtłuczone naczynie. Wychodzi do strumyka, który płynie w pobliżu, i wraca z wodą dla osła. Potem znajduje w kącie wiązkę gałęzi i usiłuje pozamiatać klepisko. Rozściela siano i robi pośłanie koło wołu, w najbardziej suchym i osłoniętym kącie. Czuje jednak, że to biedne siano jest wilgotne, więc wzdycha. Rozpala ogień. Z benedyktyńską cierpliwością suszy nad ogniem garść po garści.

Maryja siedzi na stołku. Patrzy, zmęczona, i uśmiecha się. Gotowe. Maryja siada wygodnie na miękkim sianie, opierając się plecami o drewniany filar. Józef kończy... urządzenie wnętrza, zawieszając swój płaszcz jako osłonę na wejściowym otworze. Zabezpieczenie dosyć wątpliwe. Potem podaje Dziewicy chleb z serem i wodę z manierki.

«Śpij teraz – mówi – a ja przypilnuję, żeby ogień nie zgasł. Na szczęście jest drewno. Miejmy nadzieję, że się będzie długo paliło. Oszczędzę oliwy w lampie.»

Maryja kładzie się posłusznie. Józef przykrywa ją Jej płaszczem i derką, którą w czasie drogi miała na nogach.

«Ale ty... będzie ci zimno!»

«Nie, Maryjo. Siedzę przy ogniu. Postaraj się wypocząć. Jutro będzie lepiej.»

Maryja bez sprzeciwu zamyka oczy. Józef zaszywa się w swoim kącie, na stołku przy kupce chrustu. Jest go mało. Nie sądzi, żeby starczyło go na długo.

A oto ich rozmieszczenie w grocie: Maryja na prawo, plecami do wejścia, w połowie zasłonięta





pniem drzewa i ciałem wołu, który położył się na ściółce. Józef znajduje się z lewej strony. Jest zwrócony bokiem do wejścia, twarzą do ognia, a plecami – do Maryi. Od czasu do czasu odwraca się i widzi, że leży Ona spokojnie, jakby spała. Łamie po cichu suche gałęzie i rzuca po trochu na ogień, żeby nie wygasł i dawał światło. Pilnuje, żeby go wystarczyło. Widać tylko blask – czasem nikły, czasem żywszy, czasem niknący zupełnie, bo lampa dogasa. W półmroku odznacza się tylko biel wołu, twarzy i rąk Józefa. Wszystko inne ginie w szarym półcieniu.

«Nie komentujemy niczego – mówi Maryja – wizja sama przemawia. Macie zrozumieć pouczenie o miłości, pokorze i czystości, jakie z niej wypływa. Odpoczywaj. Odpoczywając czuwaj, tak jak Ja czuwałam czekając na Jezusa. Przyjdzie i przyniesie ci pokój!»

▲ do góry

## 47. Narodziny Jezusa, naszego Pana

(por. Łk 1, 6-7)

Napisane 6 czerwca 1944. A, 2739-2752

Nadal widzę wewnątrz tej nędznej kamiennej groty, w której – dzieląc los ze zwierzętami – znaleźli schronienie Maryja i Józef.

Mały ogień drzemie, podobnie jak jego stróż. Maryja powoli unosi głowę z pośłania i patrzy.

Widząc, że Józef ma głowę zwieszoną na piersi, jakby rozmyślał, sądzi, że zmęczenie wzięło górę nad chęcią czuwania. Uśmiecha się dobrotliwie i – czyniąc mniej szelestu niż mógłby to zrobić motyl sfruwający na różę – siada, a potem klęka. Z promiennym uśmiechem na twarzy modli się. Ramiona ma otwarte, prawie rozkrzyżowane, wyciągnięte w przód, a dłonie – odwrócone ku górze. Trwa tak, bez żadnych oznak zmęczenia uciążliwą pozycją. Potem chyli się w ukłonie, dotykając twarzą siana.



Pozostaje w tej postawie, zatopiona w żarliwej modlitwie. Modli się długo.

Józef się budzi. Widzi dogasające ognisko i zagrożoną prawie w ciemnościach stajnię. Rzuca garść chrustu i ogień rozbłyska. Dorzuca grubszych gałązek, potem wybiera jeszcze większe, bo ziąb jest dotkliwy. Chłód pogodnej grudniowej nocy wnika zewsząd w ruiny. Biedny Józef siedzi tak blisko drzwi – jeśli można tak nazwać zatkaną jego płaszczem dziurę – że musi być zlodowaciały. Przybliża ręce do ognia, potem rozwiązuje sandały i zbliża do niego również stopy. Rozgrzewa się. Gdy płomień się wznieca i rozjaśnia otoczenie, odwraca się, ale nic nie widzi. Nie dostrzega już nawet jasnego pasma, utworzonego przez biały welon, który przedtem znaczył jasną linię na ciemnym sianie. Wstaje więc i ostrożnie zbliża się do pośłania.

«Nie śpisz, Maryjo?» – pyta.

Musi zapytać trzy razy, zanim Maryja uświadamia to sobie i odpowiada: «Modlę się.»

«Czy Ci czegoś potrzeba?»

«Nie, Józefie.»

«Spróbuj zasnąć na chwilę... wypocząć przynajmniej.»

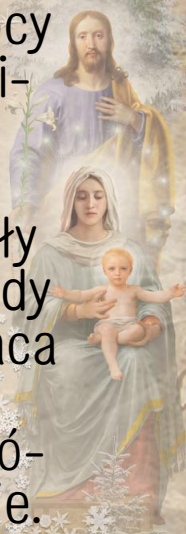
«Spróbuję. Ale modlitwa Mnie nie męczy.»

«Żegnaj, Maryjo.»

«Żegnaj, Józefie.»

Maryja wraca do poprzedniej pozycji. Józef zaś, by nie ulec znów pokusie snu, klęka koło ognia i też modli się, zakrywając twarz rękoma. Odejmuje je tylko po to, by podsycać ogień, i znów wraca do żarliwej modlitwy. Poza trzaskaniem palącego się drewna i tupaniem osła, który od czasu do czasu wali kopytem w klepisko, nic nie słysząc.

Odrobina księżycowego światła wciska się przez otwór w powale. Wygląda jak ostrze z niematerialnego srebra, które zbliża się, szukając Maryi. W miarę jak księżyc wschodzi wyżej na niebie, promień stopniowo się wydłuża, aż wreszcie dosięga





Jej. Oto pada na głowę Modlącej się. Otacza Ją aureolą bieli.

Maryja unosi głowę, jakby wezwana wołaniem z wysoka, i znowu klęka. O, jak tu jest pięknie! Podnosi głowę, która wydaje się jaśnieć białym księżycowym światłem. Przemienia Ją nieziemski uśmiech. Co widzi? Co słyszy? Czego doświadcza? Tylko Ona sama mogłaby odpowiedzieć na pytanie, co widzi, co słyszy i odczuwa w jaśniejącej godzinie Swego Macierzyństwa. Ja zauważam tylko to, że otaczający Ją blask ciągle wzrasta, wzrasta i wzrasta. Sprawia wrażenie, że zstępuje z Nieba, wydaje się wypływać z nędznego otoczenia, ale nade wszystko zdaje się wydobywać z Niej samej.

Jej ciemnolazurowa suknia wydaje się teraz łagodnym błękitem niezapominajek, a dłonie i twarz zdają się niebieskawe, jakby były umieszczone w świetle olbrzymiego, bladego szafiru. Ta barwa – aczkolwiek mniej intensywna – przypomina mi kolor, jaki widuję w widzeniach przedstawiających święty Raj. Zauważałam ją w widzeniu związanym z przybyciem Magów. Teraz światło to rozlewa się coraz bardziej na przedmioty i suknię, oczyszcza je i sprawia, że błyszczą.

Poświata coraz bardziej wydobywa się z ciała Maryi, wchłaniającego promienie księżyca. Wydaje się, że to Ona przyciąga ku Sobie to światło, mogące pochodzić tylko z Nieba. Teraz Maryja jest Tą, która posiada Światłość; jest Tą, która ma dać światu Światło. To uszczęśliwiające, nieogarnione, niezmierzone, wieczne, boskie Światło, które właśnie ma być dane, zapowiada się brzaskiem, jutrenką, chórem atomów światła. I światło to wzrasta, wzmacnia się jak przyptyw, wznosi się coraz bardziej jak kadzidło i spływa jak fala, ściele się niczym welon...

Sklepienie pełne pęknięć, pajęczyn i wystających gruzów, które tylko dzięki jakiemuś cudowi statyki nie ulegają zawaleniu, to sklepienie dotychczas czarne, zakopcone i odrażające wydaje się sufitem





królewskiej komnaty. Każdy kamień to bryła srebra. Każda szczelina jest błyskiem opalu. Każda pajęczyna wygląda jak drogocenny baldachim tkany srebrem i diamentami. Wielka jaszczurka śpiąca między dwoma głazami wygląda jak zapomniany tam przez królową szmaragdowy naszyjnik. Grono śpiących nietoperzy to cenny kandelabr z onyksu. Zwisające z wyższych jaseł siano to już nie trawa, lecz nici z czystego srebra, drżące w powietrzu z wdziękiem rozwianych włosów.

Stojący niżej żłób z ciemnego drewna, wygląda jak bryła oksydowanego srebra. Ściany pokrywa brokat, na którym jasność jedwabiu znika pod haftem ozdobionym wystającymi perłami. A czymże jest teraz klepisko? To oświetlony białym światłem kryształ. Występy zdają się różami ze światła, rzuconymi na znak hołdu na ziemię. A dziury to kryształowe puchary, z których wydobywają się wonności i zapachy.

Światło coraz bardziej wzrasta. Staje się nie do zniesienia dla oka. W tym świetle, jakby wchłonięta za rozżarzoną zasłoną, znika Dziewica... i ukazuje się Matka.

Tak. Kiedy moje oczy znów mogą znieść jasność światła, widzę Maryję ze Swym nowo narodzonym Synem w ramionach. Małe, różowe i pulchniutkie Dzieciątko porusza się i macha rączkami małymi jak pączki róży i nóżkami, które zmieściłyby się w jej kielichu. Kwili drżącym głosem nowo narodzonego jagnięcia, otwierając buzię jak poziomka i ukazując drgający przy różowawym podniebieniu języczek. Porusza główką tak jasną, że wygląda jakby była bez włosów. Tę okrągłą główką Mama podtrzymuje w zagłębieniu jednej dłoni i patrzy na Swoje Dzieciątko i uwielbia Je ze łzami i z uśmiechem. Pochyliła się, żeby Je pocałować, ale nie w niewinną główkę, lecz w pierś, gdzie jest maleńkie serduszko, które bije, bije dla nas... to serduszko, w którym pewnego dnia będzie Rana... Mama już te-





raz opatruje tę ranę Swym nieskalanym pocałunkiem.

Zbudzony blaskiem wół podnosi się z rykiem i hałasem kopyt, a osiołek odwraca łeb i też ryczy. Zwierzęta zbudziło światło, lecz wolę myśleć, że chcą powitać swego Stwórcę w imieniu swoim i wszystkich zwierząt.

Także Józef – który pograżył się w modlitwie tak intensywnej, że był oderwany od wszystkiego, co go otaczało – otrząsa się i widzi, że dziwne światło prześwituje mu przez palce dłoni, w których ukrył twarz. Odejmuje więc dłonie od twarzy, podnosi głowę, odwraca się. Stojący wół zasłania Maryję, która woła:

«Chodź tu, Józefie!»

Józef zrywa się. Widząc Dziecko zatrzymuje się porażony szacunkiem i tam, gdzie stoi, chce paść na kolana.

Maryja jednak nalega: «Podejdź, Józefie!»

Opiera lewą rękę na sianie, prawą zaś trzyma Dzieciątko, tuląc Je do serca. Wstaje i podchodzi do wahającego się Józefa, który idzie onieśmielony. Pragnie podejść, lecz powstrzymuje go lęk, żeby nie okazać braku szacunku. Małżonkowie spotykają się przy postaniu, patrzą na siebie płacząc ze szczęścia.

«Chodź – mówi Maryja – ofiarujemy Jezusa Ojcu.»

Józef klęka, Ona zaś, stojąc pomiędzy dwoma podpierającymi pułap słupami, unosi Swe Dziecko w ramionach mówiąc:

«Oto jestem... W Jego Imieniu, o Boże, mówię Ci te słowa. Oto jestem, żeby pełnić Twoją wolę. A wraz z Nim – Ja, Maryja, i Józef, Mój mąż. Oto Twoi słudzy, Panie. Spraw, żebyśmy w każdej godzinie i w każdym zdarzeniu pełnili Twoją wolę – dla Twojej chwały i z miłości do Ciebie.»

Potem Maryja schyla się i podaje Dzieciątko Józefowi, mówiąc: «Weź, Józefie.»

«Ja? Mnie Je dajesz? O, nie! Nie jestem godzien!»





Józef jest wprost przerażony i sparaliżowany myślą, że ma dotknąć Boga. Maryja nalega jednak z uśmiechem:

«Jesteś bardzo godny i nie ma godniejszego od ciebie. Dlatego właśnie ciebie wybrał Najwyższy. Weź Go i potrzyмай, Józefie, Ja zaś poszukam ubranka.»

Józef, czerwony jak purpura, wyciąga ramiona i bierze to maleńkie ciało krzyczące z zimna.

Kiedy ma Dziecię w swoich ramionach, nie upiera się już, żeby Je trzymać z szacunkiem z dala od siebie. Tuli Jezusa do serca, wybuchając głośnym płaczem:

«O! Panie! Boże mój!»

Schyla się, żeby ucałować nóżki. Czuje, że są zziębnięte, więc siada na ziemi, tuli je do siebie, zakrywa swą brązową szatą, stara się rękami osłonić przed zimnem nocy i ogrzać. Chciałby przybliżyć się do ognia, lecz tam wieje od wejścia. Lepiej tu zostać. A jeszcze lepiej będzie wejść między oba zwierzęta, które mogą osłonić przed przeciągiem i wydzielają ciepło. Idzie więc między woła i ośła, ustawia się tyłem do wejścia, pochyla nad Nowonarodzonym, żeby zrobić wnękę z własnej piersi. Jej boczne ściany stanowi z jednej strony szara głowa z długimi uszami, a z drugiej – wielki biały pysk, z parującymi chrapami i dobrymi wilgotnymi oczyma.

Maryja otworzyła już kuferek i wyciąga płótno oraz pieluszki. Podchodzi do ognia i ogrzewa je. Idzie do Józefa i owija Dziecię w lekko ogrzane płótna. Główkę osłania własnym welonem.

«Gdzie Go teraz położymy?» – pyta.

Józef rozgląda się wokół siebie, zastanawia się...

«Poczekaj – mówi. – Odsuniemy zwierzęta i ich siano. Ściągniemy tamto siano i położymy je tutaj, w żłobie. Jego wystający brzeg będzie osłoną od wiatru, a z siana zrobimy poduszkę. Wół ogrzeje Dzieciątka swoim oddechem. Lepszy będzie wół, bo jest bardziej cierpliwy i spokojniejszy.»





Józef zabiera się do roboty, a Maryja kołysze Swe Maleństwo, tuląc Je do serca. Przybliża policzek do główki Jezusa, żeby ją choć trochę ogrzać. Józef, nie szczędząc gałęzi, podsyca ogień, by płonął wysoko. Ogrzewa siano, susząc je po trochu. Potem wkłada je w zanadrze, żeby nie ostygło. Gdy ma go już dosyć na pośłanie dla Dzieciątka, idzie do żłobu i wyściela go jak kołyskę.

«Gotowe – mówi. – Teraz potrzeba tylko przykrycia, żeby siano nie kłuło i żeby Go okryć...»

«Weź Mój płaszcz.» – mówi Maryja.

«Będzie Ci zimno.»

«O, nie szkodzi! Derka jest zbyt szorstka! A płaszcz jest miękki i ciepły. Wcale nie jest Mi zimno. Niech tylko On już nie cierpi!»

Józef bierze duży płaszcz Maryi, wykonany z delikatnej ciemnoniebieskiej wełny, i kładzie go w żłobie złożony podwójnie w taki sposób, by jedna część zwisała poza wystającą krawędź żłobu.

Pierwsze łóżeczko Zbawiciela jest gotowe. Matka, stąpając pełnym wdzięku, delikatnym krokiem, niesie Je i kładzie. Połą płaszcz zakrywa Dziecko. Otula też gołą, pogrążoną w sianie główkę, oddzieloną od niego jedynie Jej delikatnym welonem. Odkryta pozostaje tylko twarzyczka, wielkości ludzkiej pięści. Oboje, schyleni nad żłobem, patrzą szczęśliwi na pierwszy sen Dzieciątka. Ciepło pieluszek i siana koi płacz i przynosi sen słodkiemu Jezusowi.

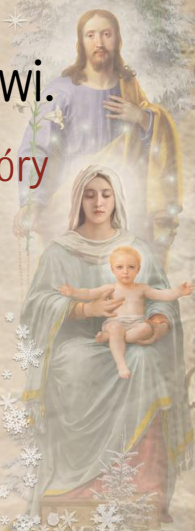
▲ do góry

## 48. Ja, Maryja, miałam udział w odkupieniu niewiasty dzięki mojemu Boskiemu Macierzyństwu

Tego samego dnia. A, 2752-2760

Mówi Maryja:

«Przyrzekłam ci, że On przyjdzie, żeby ci przynieść Swój pokój. Czy przypominasz sobie ten spokój, który był w tobie w dniu Bożego Narodzenia,





kiedy widziałaś Mnie z Moim Dzieckiem? Był to wtedy dla ciebie czas pokoju. Teraz jest czas twojej męczarni. Ale ty wiesz już teraz, że to w udręce zdobywa się pokój i każdą łaskę, dla nas i dla bliźniego. Jezus-Człowiek przekształcił się w Jezusa-Boga po udręce straszliwej Męki. Przywrócił Pokój: Pokój Niebios, z których przyszedł i z których teraz zlewa Swoj pokój na tych ludzi na świecie, którzy Go kochają. Jednak w godzinach Swej Męki On – Pokój świata – był pozbawiony tego pokoju. Nie cierpiałby, gdyby go posiadał. A musiał cierpieć – cierpieć w pełni.

Ja, Maryja, przyczyniłam się do odkupienia niewiasty przez Moje Boskie Macierzyństwo. Ale to było jedynie początkiem ocalenia niewiasty.

Pozbawiając się przez ślub dziewictwa każdego ludzkiego aktu małżeńskiego, odrzuciłam wszelkie pożądliwe zaspokojenie, zasługując na łaskę Bożą. Ale to jeszcze nie wystarczało, gdyż grzech Ewy był drzewem o czterech gałęziach: pychy, chciwości, łakomstwa, nieczystości. I wszystkie cztery musiały być odcięte całkowicie, ażeby uczynić to drzewo bezowocnym.

Upokarzając się do głębi, pokonałam pychę. Uniżałam się przed wszystkimi. Nie mówię już o Mojej pokorze wobec Boga. Ona bowiem należy się Najwyższemu od każdego stworzenia. Pokorne było nawet Jego Słowo. Musiałam więc ją posiadać i Ja, Niewiasta. Czy jednak zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, jakich upokorzeń musiałam doznawać ze strony ludzi, nie broniąc się w żaden sposób?

Nawet Józef, który był sprawiedliwy, oskarżał Mnie w swoim sercu. Inni ludzie, którzy nie byli sprawiedliwi, grzeszyli oszczerstwem co do Mego stanu. Szmer ich słów dochodził do Mnie jak gorzka fala, godząc w to, co ważne dla człowieka. A były to dopiero pierwsze z niezliczonych upokorzeń, których dostarczyło Mi życie Matki Jezusa i rodzaju





ludzkiego. Upokorzenia z powodu ubóstwa, upokorzenia uciekinierki do Egiptu, upokorzenia z powodu wymówek krewnych i przyjaciół, którzy – nie znając prawdy – uważali za słabość Moje matczyne zachowanie wobec Mojego Jezusa, kiedy stał się młodym człowiekiem... Upokorzenia trzech lat Jego postugi, okrutne upokorzenia w godzinie Kalwarii, upokorzenia aż do konieczności uznania, że nie mam środków, by kupić grób i wonności dla namaszczenia ciała Mojego Syna...

Pokonałam chciwość Pierwszych Rodziców, rezygnując przed czasem z Mojego Dziecka. Matka nigdy nie wyrzeka się dziecka, chyba że jest zmuszona rozstać się z nim. Kiedy ojczyzna, miłość małżonki lub sam Bóg prosi o nie jej serce, matka broni się przed rozstaniem. To naturalne. Dziecko wzrasta w jej łonie i nigdy nie ulega przerwaniu więzi łączącej je z nią. Nawet po przerwaniu życiodajnego przewodu pępowiny, zawsze zostaje nerw, wychodzący z serca matki – nerw duchowy, bardziej żywy i wrażliwszy od nerwu fizycznego – i łączy je z sercem dziecka. I matka odczuwa udreki, jeśli miłość do Boga lub do jakiegoś stworzenia albo też obowiązki wobec ojczyzny oddalają od niej dziecko. Matce rozdziera się serce, gdy śmierć wyrywa jej dziecko.

A Ja wyrzekłam się Mojego Syna, od chwili kiedy Go miałam. Oddałam Go Bogu. Wam Go dałam. Pozbawiłam się Owocu Mego łona, aby wynagrodzić Bogu za kradzież owocu Bożego, dokonaną przez Ewę.

Pokonałam zachłanne pragnienie wiedzy i przyjemności. Zgodziłam się na to, by wiedzieć jedynie to, co Bóg chciał, żebym wiedziała. Nie pytałam ani siebie, ani Jego o nic ponad to, co Mi powiedział. Wierzyłam bez dociekania.

Pokonałam pragnienie przyjemności, bo wyrzekłam się wszelkiego smaku zmysłów.

Podeптаłam Moje ciało. Ciało – narzędzie szata-





na – skazałam na zdeptanie wraz z nim pod Moją  
piętą, aby zrobić Sobie w ten sposób stopień zbli-  
żający do Nieba. Do Nieba! Do Mojego celu. Tam,  
gdzie jest Bóg: jedyne Moje pragnienie. Pragnienie,  
które nie jest zachłannością, lecz potrzebą błogo-  
sławioną przez Boga, który chce, abyśmy Go pra-  
gnęli.

Pokonałam nieczystość, która jest nieumiarkowa-  
nym pragnieniem doprowadzonym do zachłanno-  
ści. Każda bowiem zła skłonność, której się nie po-  
konuje, prowadzi do jeszcze większej wady. I tak  
pragnienie Ewy, już zasługujące na nagane, dopro-  
wadziło ją do rozpusty. Nie wystarczało jej już  
sprawianie sobie samej przyjemności. Chciała do-  
prowadzić swój występki do doskonałego nateże-  
nia i zbliżyć się do towarzysza, stając się nauczyciel-  
ką rozpusty. Ja zaś dążyłam do przeciwnego celu.  
Nie staczałam się, lecz zawsze wstępowałam w  
górze. Nie ściągałam nikogo w dół, lecz zawsze po-  
ciągałam w górę. Mojego cnotliwego towarzysza  
uczyniłam aniołem.

Teraz – mając Boga, a z Nim Jego nieskończone  
bogactwa – pośpiesznie wyrzekałam się ich. Mówi-  
łam: "Niech Twoja wola będzie spełniana ze wzglę-  
du na Niego i przez Niego".

Czystym jest człowiek powściągliwy nie tylko w  
ciele, lecz także w uczuciach i myślach. Musiałam  
być Czystą, aby unicestwić Nieczystość ciała, serca  
i umysłu. I nie porzuciłam Mojej powściągliwości.  
Nie mówiłam o Moim Synu nawet tego, że na ziemi  
należy tylko do Mnie, jak był jedynie Boży w Niebie:  
"On jest Mój i chcę Go mieć przy Sobie."

Ale nawet to jeszcze nie wystarczało, żeby zdo-  
być dla niewiasty pokój utracony przez Ewę. Otrzy-  
małam go dla was u stóp Krzyża, kiedy patrzyłam,  
jak umiera Ten, którego narodzenie widziałaś. Kie-  
dy słyszałam krzyk Mojego umierającego Dziecka,  
czułam, jak się rozdzierają Moje wnętrzności, i zo-  
stałam wtedy pozbawiona wszystkiego, co kobiecie.





Nie było już we Mnie ciała, lecz anioł. Maryja, Dziewica poślubiona Duchowi, umarła w tamtej chwili. Pozostała Matka Łaski: Ta, która w Swojej udreće zrodziła wam Łaskę i wam ją dała. Kobieta – którą w noc Bożego Narodzenia na nowo konsekrowałam na niewiastę – u stóp Krzyża otrzymała środki, aby stać się dzieckiem Niebios.

Uczyniłam to wszystko dla was, wyrzekając się wszelkiego zaspokojenia, nawet świętego. Z was – zdegradowanych przez Ewę kobiet nie przewyższających towarzyszek zwierząt – uczyniłam święte Boże. Jednak możecie nimi być tylko wtedy, gdy będziecie tego chcieli. Wspinałam się wzwyż ze względu na was. Was wznosiłam w górę jak Józefa. Skała Kalwarii jest Moją górą Oliwną. Stamtąd wznosiłam się, aby zanieść do Niebios ponownie uświęconą duszę niewiasty, razem z Moim ciałem, uwielbionym z powodu noszenia Słowa Bożego oraz unicestwienia w Sobie ostatniego śladu Ewy, ostatniego korzenia tego drzewa o czterech trujących konarach i korzeniu zapuszczonym w zmysłowość. Ono pociągnęło do upadku ludzkość i aż do końca wieków, i aż po ostatnią niewiastę będzie kasało wasze wnętrzości. Stamtąd, gdzie teraz jaśnieję w promieniach Miłości, wzywam was i wskazuję wam Lekarstwo dla pokonania samych siebie: Łaskę Mojego Pana i Krew Mojego Syna.

A ty, Mój głosie, daj odpoczynek twojej duszy, w światłości tego świtu Jezusa. Musisz mieć siły dla przyszłych krzyży, które nie będą ci oszczędzone. Chcemy, abys i ty była tutaj, a tu się przychodzi przez ból. Pragniemy, abys była tutaj. Im więcej utrapień znosi się, żeby uzyskać Łaskę dla świata, tym wyżej się dochodzi. Trwaj w pokoju. Jestem z tobą.»

▲ do góry

## 49. Pokłon pasterzy

(por. Łk 2, 8-20)



Piszę w obecności mojego Nauczyciela, Jezusa. Jest tu dla mnie, cały dla mnie! Wrócił po długim czasie i tylko dla mnie! Powie ojciec: "Jak to? Już prawie od miesiąca znów widzisz Go i słyszysz, a mówisz, że masz Go po tak długim czasie." Odpowiadam więc raz jeszcze na to, co już wielokrotnie, ustnie i na piśmie, ojcu przekazywałam. Co innego – widzieć, a co innego – słyszeć. A przede wszystkim co innego jest widzieć i słyszeć dla innych, żeby to dla nich opisać, a co innego: widzieć i słyszeć tylko dla siebie, wyłącznie dla mnie.

W pierwszym wypadku jestem widzem i powtarzam to, co oglądam i słyszę. Jeśli sprawia mi to radość, to dzieje się tak dlatego, że są to zawsze sprawy napełniające wielką radością. Prawda, że jest to, jak można by powiedzieć, radość zewnętrzna. Słowa źle wyrażają to, co tak dobrze odczuwam, ale nie znajduję lepszych. Chcę powiedzieć, że ta moja radość podobna jest do doznań człowieka, który czyta ładną książkę lub ogląda piękną scenę. Wzrusza się, rozkoszuje, podziwia harmonię utworu i myśli: "Jak pięknie byłoby znajdować się na miejscu tej osoby!" W drugim zaś wypadku tak słuchanie, jak i widzenie jest dla mnie, a więc "tą osobą" jestem ja. Dla mnie jest słowo, które słyszę, dla mnie jest postać, którą widzę. Jestem ja i On, ja i Maryja, ja i Jan. Są żywi, prawdziwi, realni i bliscy, nie naprzeciw, jakbym oglądała film. Widzę Ich obok mego łóżka. Widzę, jak chodzą po pokoju, opierają się o meble, siadają lub stoją jak żywi ludzie. To moi goście. To zupełnie coś innego niż widzenie przeznaczone dla wszystkich. Jednym słowem, wszystko jest "dla mnie".

Dzisiaj, a nawet już od wczorajszego popołudnia, jest tu Jezus. Ma na sobie Swoją zwykłą szatę z białej wełny. Jej biel przypomina raczej kość słoniową. Odzienie Jezusa bardzo różni się co do ciężaru i odcienia od wspaniałej szaty, która okrywa





Go w Niebie – jakby z lnu niematerialnego i tak białego, że wydaje się utkana ze światła. Jezus jest tu. Jego piękne, smukłe dłonie mają odcień bieli wpadającej w barwę starej kości słoniowej. Na pięknej bladej, pociągłej twarzy jaśnieją ciemnoszafirowe, władcze i łagodne oczy, w oprawie gęstej, kasztanowej, mieniającej się jasnorudymi błyskami. Widzę Jego piękne, długie i delikatne, płoworude włosy, jaśniejsze w miejscach załamania się światła, a ciemniejsze w głębi splotów. Jest tutaj! Jest tu! Uśmiecha się do mnie i patrzy, jak o Nim piszę. Tak samo zachowywał się w Viareggio... A od czasu Wielkiego Tygodnia więcej tego nie czynił... przez co byłam zmartwiona i rozgorączkowana tym smutkiem, aż do bólu spowodowanego Jego nieobecnością. Połączyło się to także z cierpieniem pozbawienia mnie mieszkania, w którym Go widywałam i mogłam wspominać: «Tu się opierał, tam siedział, a tutaj pochylił się, żeby położyć mi rękę na głowie...» ...mieszkania, w którym umarli moi rodzice. O! Nikt, jeśli sam tego nie doświadczył, nie zrozumie! Nie można się domagać otrzymywania tego wszystkiego. Dobrze wiemy, że to łaski darmowe i nie zasługujemy na nie. Nie możemy ich żądać, kiedy nie są nam udzielane. To oczywiste. Im więcej ich otrzymujemy, tym bardziej musimy unikać się w pokorze, uznając naszą odrażającą nędzę wobec udzielającego się nam Nieskończonego Piękna i Bożego Bogactwa.

Co ojciec powie? Czy syn nie pragnie zobaczyć ojca i matki? A żona – ujrzeć męża? A jeśli śmierć lub długie rozstanie rozdzieli ich, czy ten, kto pozostaje, nie znajduje pociechy tam, gdzie razem mieszkali? Jeśli zaś musi opuścić to miejsce, czy nie cierpi podwójnie tracąc także miejsce, gdzie nieobecny odpowiadał na jego miłość miłością? Czy można mu wyrzucać, że z tego powodu cierpi? Nie. A ja? Czy Jezus nie jest moim Ojcem i Oblubieńcem? Czyż nie jest droższym i znacznie bar-





dziej kochanym od najukochańszego z ojców i ob-  
lubieńców? Dowodem, że tak jest, może być to, w  
jaki sposób znosiłam śmierć matki. Czy wie ojciec,  
jak cierpiałam? Jeszcze płaczę, bo ją bardzo ko-  
chałam, pomimo jej usposobienia. Ojciec widział,  
jak pokonałam te chwile. Dzięki obecności Jezusa.  
Jest mi droższy od mamy. Mogę tak mówić? Cier-  
piałam. A nawet teraz bardziej cierpię z powodu  
śmierci mamy, (od której mija teraz osiem miesię-  
cy), niż wcześniej. To dlatego że przez ostatnie dwa  
miesiące byłam pozbawiona obecności Jezusa i  
Maryi dla mnie. Obecnie wystarczy nawet, że mnie  
na chwilę opuszczają, żebym znów bardziej niż zwy-  
kle odczuwała opuszczenie chorej sieroty i pogrą-  
żała się w ludzkiej i gorzkiej boleści tych nieludz-  
kich dni.

Piszę to w obecności Jezusa. Nie przesadzam  
więc i niczego nie przeinaczam. Zresztą nie mam  
takiego zwyczaju. A gdybym nawet miała, byłoby to  
niemożliwe teraz, gdy Jezus na mnie patrzy. Napi-  
sałam to wszystko, postępując inaczej niż zwykle,  
gdyż widzeń dotyczących Maryi nie przerywam  
moim biednym ja. Wiem już, że powinnam kontynu-  
ować opisywanie Jej chwały. Czyż bowiem Jej Ma-  
cierzyństwo nie jest, we wszystkich swoich szcze-  
gółach, koroną chwały? Jestem bardzo chora i pi-  
sanie wiąże się z wielkim trudem. Jestem strzępem.  
Nie zważam jednak na to, bo chcę, żeby Maryja zo-  
stała poznana i bardziej umiłowana. Bola mnie ple-  
cy? Serce ustaje? Boli mnie głowa? Wzrasta gorącz-  
ka? Nic to! Chcę, żeby tylko poznano Maryję: całą  
piękną i drogą – taką, jaką widzę dzięki dobroci  
Boga i Jej. To mi wystarczy.

Później widzę rozległy wiejski krajobraz. Księżyc  
jest w zenicie i żegluje spokojnie po niebie usia-  
nym gwiazdami. Wyglądają one jak diamentowe  
szpilki, wbite w ogromny baldachim z ciemnonie-  
bieskiego aksamitu. Pośrodku śmieje się swą bielu-  
sieńką twarzą księżyc. Rozlewa potoki mlecznego





światła, bielącego ziemię. Ogołoczone drzewa wydają się wyższe i ciemniejsze wśród tej bieli. Wynurzające się gdzieniegdzie murki wyglądają jak z mleka, a domek w oddali – jak blok karraryjskiego marmuru.

Po prawej stronie widzę obszar otoczony z dwóch stron ciernistym żywopłotem. Dwie pozostałe otacza niski, prosty mur. Podtrzymuje on dach, tworząc rodzaj szopy, przestronnej i niskiej. Wewnętrzna część tego ogrodzenia jest częściowo murowana, a częściowo zbudowana z luźnych desek. W lecie można zdjąć deski i wtedy szopa zamienia się w krużganek. Od czasu do czasu dochodzi stamtąd krótkie, przerywane pobekiwanie. Chyba są tam owce, które albo śnią, albo – z powodu blasku księżycowej poświaty – myślą, że zbliża się świt. Jest to jakaś bardzo intensywna, nadzwyczajna jasność. Wzrasta ona, jakby jakieś ciało niebieskie zbliżało się ku ziemi lub ogarnęła ją zagadkowa pożoga.

Na progu ukazuje się pasterz. Wznosi ręce do czoła, by przysłonić oczy, i patrzy w górę. Wydaje się czymś niemożliwym, żeby trzeba było zasłaniać oczy przed blaskiem księżyca. A jednak jego światłość jest tak intensywna, że oślepia – zwłaszcza tego, kto wychodzi z zamkniętego i ciemnego pomieszczenia. Wszędzie panuje cisza, lecz ta jasność zadziwia. Pasterz woła towarzyszy. Zjawiają się wszyscy przed wejściem. Jest ich wielu. To zarodnięci mężczyźni, w różnym wieku. Są wśród nich zarówno chłopcy, jak i starcy. Rozmawiają o tym dziwnym zjawisku. Najmłodsi boją się. Jeden chłopiec, może dwunastoletni, zaczyna płakać, ściągając na siebie kpiny starszych.

«Czego się boisz, głuptasie? – mówi najstarszy. – Nie widzisz, że powietrze jest spokojne? Czyś nigdy nie widział blasku księżyca? Czyżbyś zawsze był pod spódnicą matki, jak kurczak pod kwoką? Zobaczysz jeszcze inne rzeczy! Pewnego razu posze-





dłem w góry Libanu i dalej jeszcze... wyżej... Byłem wtedy młody i chodzenie nie męczyło mnie tak jak teraz. Byłem wtedy nawet bogaty... Pewnej nocy ujrzałem takie światło, że pomyślałem, iż to Eliasza powraca w ognistym zaprzęgu. Całe Niebo płonęło! Pewien starzec... wtedy on był starcem powiedział mi: "Coś wielkiego dzieje się na świecie." Było to dla nas zapowiedzią nieszczęścia, bo przyszli żołnierze Rzymu. O, pożyczysz jeszcze, a zobaczysz...»

Pastuszek nie słucha już. Wydaje się, że lęk ustał. Opuszcza próg, wychyla się zza pleców muskularnego pasterza, za którym się schronił, i opuszcza zagrodę, zadaszoną i porośniętą trawą. Idzie, patrząc w górę jak lunatyk lub jak ktoś zahipnotyzowany czymś, co go całkowicie przyciąga. Po pewnej chwili krzyczy:

«Och!» – i staje jak skamieniały z nieco rozpostartymi rękoma.

Inni patrzą na siebie, zdumieni.

«Cóż jest temu głuptasowi?» – pyta któryś.

«Jutro odprowadzę do matki. Nie chcę wariata do pilnowania owiec» – mówi inny.

Starszy, który przedtem się odzywał, znowu mówi: «Chodźmy sprawdzić, zanim osądzimy.

Zawołajcie resztę śpiących i weźcie kije. Może tam jest niebezpieczne zwierzę albo zbójcy...»

Wracają, wołają innych pasterzy. Wychodzą z pochodniami i grubymi kijami. Dochodzą do chłopca.

«Tam! Tam! – szepce mały z uśmiechem. – Nad tamtym drzewem... Zobaczcie, jakie światło się zbliża... Jakby schodziło po księżycowym promieniu. Zbliża się. Jakie piękne!»

«Ja widzę tylko nieco silniejszy blask.»

«Ja także.»

«Ja też» – mówią inni.

«Nie. Ja widzę jakby postać» – mówi inny pasterz. Rozpoznaję w nim tego, który dał Maryi mleko.

«To... to anioł! – krzyczy chłopiec. – Zobaczcie, jak zstępuje i zbliża się... Na ziemię! Na kolana





przed Aniołem Pańskim!»

Ogólne "Och!.." – długie i pełne najwyższego szacunku rozlega się w grupie padających na twarz pasterzy. Im są starsi, tym bardziej zdają się przejąć ci świetlistym zjawiskiem. Młodszy klęczą przyglądając się aniołowi. On coraz bardziej się zbliża.

Wreszcie nieruchomieje w powietrzu, ponad murem ogrodu. Pozostaje tak z rozwiniętymi wielkimi skrzydłami, jaśniejącymi perłową bielą w księżycowym blasku. Mówi:

«Nie lękajcie się. Nie zwiastuję nieszczęścia. Ogłaszam wam radosną nowinę dla ludu izraelskiego i dla wszystkich narodów ziemi.» – Anielski głos łączy się jak brzmienie harfy ze śpiewem słowików – «Dzisiaj, w mieście Dawida, narodził się Zbawiciel...».

Przy tych słowach anioł mocniej rozkłada skrzydła, poruszając nimi jakby w radosnym drzeniu. Wydaje się, że spada z nich deszcz złotych iskier, błyszczących jak klejnoty. To prawdziwa tęcza, która rysuje się tryumfalnym łukiem nad biedną zagrodą.

«...Zbawiciel, który jest Chrystusem.» – anioł łśni mocniejszym światłem. Skrzydła – teraz nieruchome i skierowane ku niebu – wydają się dwoma żaglami, które stoją nieruchomo na szafirowym morzu, niczym dwa płomienie ognia wznoszące się ku górze.

«...Chrystusem, Panem!» – anioł składa pełne blasku skrzydła. Zakrywa się nimi, jakby diamentowym płaszczem zarzuconym na swój perłowy strój. Pochyła się w pełnym uwielbienia pokłonie, przyciskając ręce do serca i chyląc głowę bardzo nisko. Okrywają go szczyty złożonych skrzydeł. Widać go jako wydłużoną, świetlaną postać, nieruchomą podczas jednego "Gloria". Ale teraz znów się porusza. Rozwiera skrzydła, unosi oblicze, na którym światło stapia się z niebiańskim uśmiechem, i mówi:

«Poznacie Go po takich znakach: w biednej stajni, za Betlejem, znajdziecie owinięte w pieluszki Dzie-





cię, położone w żłobie dla zwierząt. W mieście Dawida bowiem nie było schronienia dla Mesjasza».

Mówiąc to, anioł staje się bardzo poważny, wręcz smutny.

Tymczasem z Niebios nadciąga cały tłum – o, jaki tłum! – mnóstwo podobnych do niego aniołów. To prawdziwa drabina zstępujących z radością na ziemię aniołów, którzy zaćmiewają niebiańskim blaskiem światło księżyca. Gromadzą się wokół anioła zwiastującego dobrą nowinę. Poruszają skrzydłami, rozsiewają wonie, czemu towarzyszy niezwykle harmonia dźwięków. Są w niej wszelkie najpiękniejsze głosy stworzeń, jakie można znaleźć lub sobie przypomnieć, lecz doprowadzone do pełnej doskonałości brzmienia. Malarstwo to wysiłek, by materia stała się światłem, tu zaś melodia i dźwięk pragnie olśnić ludzi pięknem Boga. Słyszeć tę melodię to poznać Raj. Tam wszystko jest harmonią miłości. Ona wydobywa się z Boga dla radości błogostawionych i wraca od nich ku Niemu, żeby Mu rzec: "Miłujemy Ciebie!"

Anielskie "Gloria" rozchodzi się falami coraz dalej nad spokojnymi polami, a z nimi – światło. Zbudzone światłem ptaki przyłączają się do śpiewu, witając przedwczesny brzask, a owce pozdrawiają beczenie słońce, które pojawia się przed czasem. Ja jednak wolę sądzić, że zwierzęta pozdrawiają w ten sposób Stworzyciela, który do nich przybył, by miłować je także jako Człowiek, a nie tylko jako Bóg. Tak samo myślałam przedtem w betlejemskiej grocie o przebudzonym wole i ośle.

Śpiew i światło powoli słabną, aniołowie wracają do Nieba... a Pasterze ocknęli się.

«Czyś słyszał?»

«Pójdziemy zobaczyć?»

«A zwierzęta?»

«O, nic im się nie stanie! Chodźmy, żeby okazać posłuszeństwo słowu Bożemu!...»

«Ale gdzie mamy iść?»





«Czy nie powiedział, że siędziś narodził?... i nie znalazł schronienia w Betlejem? – mówi to pasterz, który dał mleko Maryi. – Chodźcie, ja wiem. Widziałem pewną niewiastę i żal mi się Jej zrobiło. Wskazałem Jej schronienie, bo czułem, że nie znajdą nigdzie lepszego, a mężowi dałem dla Niej mleka. Jest taka młodziutka i taka śliczna. Jest też pewnie dobra jak anioł, który do nas przemawiał. Chodźcie, chodźcie! Weźmiemy mleka, sery, owieczki i wyprawione skórki. Muszą być bardzo biedni... i... kto wie, jak zimno musi być Temu, którego nie śmiem nazwać! I pomyślcie tylko, że rozmawiałem z Jego Matką, jak z jakąś biedną mężatką!....»

Wracają do szopy i niebawem z niej wychodzą. Jedni niosą naczynie z mlekiem, inni – okrągłe serki zawinięte w plecione z trawy siatki, beczące jagnię w koszyku i wyprawione owcze skórki.

«Zabieram owcę, która miała młode przed miesiącem. Daje dobre mleko! Może się przydać, gdyby niewiasta nie karmiła. Wydawała się prawie dzieckiem i była tak bledziutka!... W świetle księżyca miała jaśminową cerę» – mówi pasterz, który dał mleko. To on ich prowadzi.

Po zamknięciu szopy i zagrody wychodzą, w świetle księżyca i pochodni. Idą polnymi ścieżkami, przecinając cierniste żywopłoty, pozbawione zimą liści. Okrążają Betlejem i docierają do stajni nie od tej strony, z której przyszła Maryja, lecz od przeciwnej. W ten sposób nie przechodzą obok innych, lepszych grot, lecz od razu znajdują właściwą. Zbliżają się do otworu.

«Wchodź.»

«Ja nie śmiem.»

«To wejdź ty!»

«Nie.»

«To przynajmniej popatrz.»

«Idź ty, Lewi. Jako pierwszy zobaczyłeś anioła. Oznacza to, że jesteś od nas lepszy. Zajrzyj!» Przedtem traktowali go jak wariata... Teraz posługują się





nim, żeby zrobić to, czego sami nie mają odwagi uczynić. Chłopiec waha się, potem jednak podejmuje decyzję. Podchodzi do wejścia, odstawia nieco płaszcz... i staje, zachwycony.

«Co widzisz?» – pytają niespokojnie i cicho.

«Widzę bardzo młodą i piękną Niewiastę i męża. Są pochyleni nad żłobem. I słyszę... słyszę płaczące Dziecko, a Niewiasta mówi do Niego głosem... o, jakim głosem!»

«Ale co mówi?»

«Mówi: "Jezu, malusieńki! Jezu, miłości Twojej Mamy! Nie płacz, Syneczku." Teraz mówi: "Och, gdybym tak mogła Ci powiedzieć: Napij się mleka, malusieńki! Jednak nie mam go jeszcze!" A teraz mówi: "Tak Ci zimno, kochanie Moje! Kłuje Cię siano. Jaki to smutek dla Twojej Mamy, która słyszy, jak płaczesz, a nie potrafi Cię pocieszyć." Mówi: "Śpij, Moja duszyczko! Serce Mi się rozdziera, gdy słyszę Twój płacz i widzę Twoje łzy." Teraz całuje Go i ogrzewa nóżki rękami. Jest pochylona i trzyma ręce w żłobie.»

«Odezwij się! Niech cię zauważą!»

«Nie ja... ty... boś nas tu przyprowadził i znasz ich.»

Pasterz otwiera usta, ale wydaje tylko pomruk.

Józef odwraca się i zbliża do wejścia.

«Kim jesteście?» – pyta.

«Pasterzami. Przynieśliśmy jedzenie i wełnę. Chcemy uwielbić Zbawiciela.»

«Wejdźcie.»

Wchodzą do stajni, oświetlając ją pochodniami. Starsi wypychają młodszych do przodu.

Maryja odwraca się i uśmiecha:

«Chodźcie! Chodźcie!» – zaprasza ich ruchem dłoni i uśmiechem.

Bierze za rękę chłopca, który pierwszy ujrzał anioła, i przyciąga go do żłobu. Chłopiec patrzy, uszczęśliwiony. Pozostali, zaproszeni przez Józefa, zbliżają się z darami i składają wszystko u stóp Maryi, wypowiadając tylko kilka wzruszających słów.





Potem przyglądają się płaczącemu cicho Dzieciątku i uśmiechają się, wzruszeni i szczęśliwi. Jeden z nich, nieco śmielszy, mówi:

«Weź, o Matko! Jest giętka i czysta. Przygotowałem ją dla dziecka, które niebawem u nas się urodzi, ale daję Tobie. Połóż Syna na wełnie, będzie Mu ciepło i miękko.»

Daje owcze runo, prześliczną skórę z obfitą, białą i długą wełną. Maryja podnosi Jezusa i owija Go. Pokazuje Dziecię pasterzom, klęczącym na słomie rozrzuconej po klepisku. Przyglądają się, zachwyceni. Stają się śmielsi i jeden z nich proponuje:

«Trzeba by Mu dać łyk mleka albo lepiej wody z miodem. Nie mamy jednak miodu. Tak się robi z noworodkami. Mam siedmioro dzieci, więc wiem...»

«Tu jest mleko. Weź, o Pani» – mówi jeden z pasterzy.

«Ale jest zimne – odzywa się inny. – Musi być ciepłe. Gdzie Eliasza? On ma owcę...»

Eliasza to zapewne ten pasterz od mleka, lecz nie ma go. Zatrzymał się przed wejściem i zagląda przez szparę. Ukrył się w ciemnościach nocy.

«Kto was tu przyprowadził?»

«Anioł kazał nam tu przyjść, a Eliasza nas poprowadził. Gdzie się teraz podział?»

Beczenie owcy zdradza miejsce jego ukrycia.

«Wejdziesz, jesteś potrzebny» – mówią do Eliasza.

Eliasza wchodzi z owcą, speszony, bo zwracają na niego większą uwagę. Józef rozpoznaje go i mówi: «To ty?»

Maryja uśmiecha się do niego ze słowami: «Jesteś dobry.»

Doją owcę. Maryja, narożnikiem lnianego płótna, przesiąkniętym ciepłym spienionym mlekiem, zwilża wargi Dzieciątka, które ssie śmietankową słodycz. Wszyscy uśmiechają się. Jeszcze większy uśmiech pojawia się na ich twarzach, gdy Jezus usypia w cieple wełny, trzymając jeszcze rożek tkaniny w usteczkach.





«Nie możecie tutaj pozostać. Tu jest zimno i wilgotno. A w dodatku... w tym zwierzęcym odorze! To niedobre... i... nie jest godne Zbawiciela...»

«Wiem – mówi Maryja z ciężkim westchnieniem. – Ale nie ma dla nas miejsca w Betlejem!»

«Odwagi, Niewiasto! Znajdziemy Ci dom.»

«Porozmawiam z moją panią – mówi Eliasz, pasterz od mleka. – Jest dobra. Przygarnie was, nawet gdyby miała oddać własną izbę. Jak tylko zaświta, porozmawiam z nią. Ma dom pełen ludzi, ale na pewno znajdzie dla was miejsce.»

«Przynajmniej dla Mojego Dziecka... Ja i Józef możemy spać na ziemi, ale Maleńki...»

«Nie martw się, Niewiasto. Pomyślę o tym. Opowiem wielu o tym, co nam rzekł anioł.

Niczego wam nie zabraknie. Tymczasem przyjmicie od nas to, co w naszym ubóstwie możemy wam dać. Jesteśmy pasterzami...»

«My też jesteśmy ubodzy – mówi Józef – nie możemy wam się odplacić.»

«Och! Nie chcemy! Nawet gdybyście mogli, nie przyjęlibyśmy. Pan nas już wynagrodził.

Przecież obiecał wszystkim pokój. Aniołowie powiedzieli: "Pokój ludziom dobrej woli." Nam już został dany, bo anioł powiedział, że to Dziecię jest Zbawicielem i Chrystusem, Panem. Jesteśmy nieuczonymi biedakami, lecz wiemy, że Prorocy przepowiedzieli Zbawiciela, który będzie Księciem Pokoju. A nam polecono przyjąć Go uwielbić... Otrzymaliśmy więc Jego pokój. Chwała Bogu na wysokości Niebios i chwała Jego Chrystusowi! A Ty, Niewiasto, któraś Go urodziła, bądź błogostawiona. Jesteś Święta, skoro zażyłaś, żeby Go nosić! Rozkazuj nam jak Królowa, a będziemy szczęśliwi, że możemy Ci służyć. Co możemy zrobić dla Ciebie?»

«Kochać Mojego Syna i mieć zawsze w sercach wasze obecne myśli.»

«A dla Siebie? Nie pragniesz niczego? Nie masz krewnych, których chciałybyś powiadomić, że On





się narodził?»

«Tak. Mam krewnych, ale są daleko. Mieszkają w Hebronie.»

«Ja pójdę – mówi Eliasz. – Kim są?»

«Kapłan Zachariasz i moja kuzynka Elżbieta.»

«Zachariasz? O! Znam go dobrze. Chodzę latem w te góry z moimi owcami, bo tam są dobre i obfite pastwiska. Jestem przyjacielem jego pasterza. Kiedy już gdzieś zamieszkasz, pójdę do Zachariasza.»

«Dziękuję, Eliaszu!»

«Nie dziękuj. To dla mnie, biednego pasterza, wielki zaszczyt iść i powiedzieć kapłanowi: "Narodził się Zbawiciel".»

«Nie. Powiesz mu tak: "Maryja z Nazaretu, twoja kuzynka, powiedziała, że narodził się Jezus. Przyjedź do Betlejem."»

«Tak powiem.»

«Niech ci to Bóg wynagrodzi. Będę pamiętać o tobie, o was wszystkich.»

«Opowiesz o nas Swemu Dzieciątku?»

«Opowiem» – zapewnia Maryja.

«Jestem Eliasz.»

«Ja jestem Lewi.»

«A ja, Samuel.»

«Ja, Jonasz.»

«Ja, Izaak.»

«Ja, Tobiasz.»

«Ja, Jonatan.»

«Ja, Daniel.»

«Symeon to ja.»

«A mnie nazywają Jan.»

«Ja jestem Józef, a mój brat – Benjamin. Jesteśmy bliźniakami.»

«Zapamiętam wasze imiona.»

«Musimy odejść... lecz wrócimy. Przyprowadzimy innych, żeby też oddali chwałę!...»

«Ale jak tu zostawić Dziecię i powrócić do szopy?»

«Chwała Bogu, że Je nam pokazał!»

«Pozwól nam ucałować Jego szatki» – prosi Lewi





z anielskim uśmiechem.

Maryja ostrożnie unosi Jezusa. Siada na sianie i podaje do ucałowania owinięte pieluszkami nóżki. Pasterze, chyląc się do ziemi, całują maleńkie, osłonięte płótnem stópki. Kto ma brodę, najpierw ją ociera, a prawie wszyscy płaczą. Kiedy muszą już odejść, wycofują się bez odwracania, tyłem, zostawiając tam serce...

Wizja kończy się dla mnie w taki sposób: widzę Maryję, siedzącą na sianie z Dzieciątkiem na kolanach, a Józef, stojąc oparty łokciem o brzeg żłobu, patrzy i uwielbia.

▲ do góry

## 50. W pasterzach są wszystkie cechy potrzebne, aby być czcicielem Słowa

(por. Łk 1, 8-18)

Ciąg dalszy. A, 2784-2787

Mówi Jezus:

«Dzisiaj Ja mówię. Jesteś bardzo zmęczona, ale miej jeszcze trochę cierpliwości. To dzień poprzedzający święto Bożego Ciała. Mógłbym ci mówić o Eucharystii i o świętych, którzy stali się szerzycielami Jej kultu, tak jak ci mówiłem o świętych, którzy byli apostołami Najświętszego Serca. Chcę ci jednak mówić o czymś innym: o pewnym rodzaju czcicielu Ciała Mojego, którzy są poprzednikami Jego kultu.

To pasterze: pierwsi czciciele Mojego Ciała, Słowa, które stało się Człowiekiem. Raz ci już powiedziałem – i tak mówi się także w Moim Kościele – że święci Młodziankowie są poprzednikami męczenników Chrystusa. Teraz mówię ci, że pasterze są pierwszymi czcicielami Bożego Ciała. W nich są wszystkie cechy wymagane, aby być czcicielem Mojego Ciała. To dusze eucharystyczne.

Niezachwiana wiara. Oni wierzą natychmiast i bez zastrzeżeń aniołowi.





Hojność. Dają całe swoje bogactwo swemu Panu. Pokora. Zbliżają się, po ludzku rzecz biorąc, do bardziej ubogich od siebie. Czynią to skromnie, nie poniżając. Zachowują się jak ich słudzy.

Pragnienie. To, czego nie potrafią dać sami, pragną dostarczyć – podejmując wszelkie wysiłki – przez swe apostołowanie i trud.

Gotowość i posłuszeństwo. Maryja pragnie powiadomić Zachariasza i Eliasza natychmiast idzie. Nie odkłada tego.

Wreszcie – miłość. Oni nie potrafią stamtąd odejść. Ty mówisz, że "pozostawili tam swoje serca". Mówisz dobrze.

A czy nie trzeba by tak postępować wobec Mego Sakramentu?

I jeszcze jedna sprawa, odnosząca się także całkowicie do ciebie: zauważ, komu anioł ukazuje się jako pierwszemu i kto zasługuje na usłyszenie serdeczności od Maryi. Lewi, dziecko. Temu, kto ma duszę dziecka, ukazuje się Bóg i ujawnia Swoje tajemnice. Pozwala, żeby usłyszał słowa Boga i Maryi. I ten, który ma duszę dziecka, posiada także świętą śmiałość Lewiego i mówi: "pozwól mi pocałować szatę Jezusa". Mówi to do Maryi, bo to zawsze Ona jest Tą, która daje wam Jezusa. Jest Nosiicielką Eucharystii. Ona jest Żywym Cyboryum.

Kto idzie do Maryi, ten Mnie znajduje. Kto Ją o Mnie prosi, od Niej Mnie otrzymuje. Kiedy jakieś stworzenie Jej mówi: "Daj mi Twojego Jezusa, żebym Mu okazał miłość", Moja Matka tak jest szczęśliwa i tak się uśmiecha, że przemieniają się Niebiosy w najbardziej żywym blasku radości.

Powiedz Jej zatem: "Pozwól mi ucałować szatę Jezusa. Pozwól mi pocałować Jego rany". I ośmiel się na więcej jeszcze. Powiedz: "Pozwól mi położyć głowę na Sercu Twojego Jezusa, aby mnie to uszczęśliwiło."

Chodź i odpocznij jak Jezus w kołysce: między Jezusem i Maryją.》





## 51. Odwiedziny Zachariasza

Napisane 8 czerwca 1944. A, 2788-2796

Widzę podłużną izbę, w której oglądałam spotkanie Magów z Jezusem, gdy składali Mu hołd. Domyślałam się więc, że znajduję się w gościnnym domu, w którym przyjęto Świętą Rodzinę.

Widzę, jak przybywa Zachariasz. Elżbiety nie ma.

Właścicielka domu wybiega na zewnątrz, na taras, na spotkanie przybywającego gościa.

Prowadzi go pod jakieś drzwi i puka. Następnie wycofuje się dyskretnie. Otwiera Józef i widząc Zachariasza wydaje okrzyk radości. Zaprasza gościa do swej malutkiej jak przedsionek izdebki.

«Maryja karmi Dziecko. Poczekaj chwilę i usiądź. Z pewnością jesteś utrudzony.»

Sadza go obok siebie na łóżku. Słyszę, jak Józef pyta o małego Jana, a Zachariasz odpowiada: «Rośnie, krzepki jak żreback. Teraz trochę cierpi z powodu zębów, dlatego nie chcieliśmy go zabierać. Jest bardzo zimno, więc Elżbieta także nie przyjechała. Nie mogła zostawić Jana bez mleka. Martwi się tym. Co za surowa pora roku!»

«Istotnie, jest bardzo zimno» – odpowiada Józef.

«Przysłany przez was człowiek mówił mi, że podczas Jego narodzin nie mieliście domu. Kto wie, ile musieliście przecierpieć.»

«Tak, wiele. Jednak większy od braku wygod był nasz lęk. Baliśmy się, że to zaszkodzi Dzieciątku. Przez pierwsze dni musieliśmy tam pozostać. Niczego nam nie brakowało, bo pasterze roznieśli dobrą nowinę po całym Betlejem i wielu przybyło z darami. Nie mieliśmy jednak domu, izby dającej schronienie, łóżka... a Jezus tak płakał, zwłaszcza nocą, z powodu wciskającego się zewsząd wiatru. Paliliśmy mały ogień. Mały, bo dym przyprawiał Dziecko o kaszel... więc było zimno. Dwa zwierzęta mało ogrzewały wnętrze, bo ze wszystkich stron





wpadało zimne powietrze. Brakowało ciepłej wody, żeby Go umyć i brakowało suchej bielizny na zmianę. O! Bardzo cierpiał! Maryja też bardzo cierpiała patrząc na Jego cierpienie. Ja cierpiałem... a pomyśl o Niej, jest przecież Matką. Karmiła Go mlekiem i łzami, mlekiem i miłością... Tu jest teraz lepiej. Przygotowałem już wcześniej wygodną kołyskę, którą Maryja wyłożyła wypchanym wełną materacykiem, ale jest w Nazarecie! O, gdyby się tam urodził, byłoby zupełnie inaczej!»

«Chrystus musiał narodzić się w Betlejem. Takie było proroctwo.»

Wchodzi Maryja, która usłyszała głosy. Ubrana jest w szatę z białej wełny. Zdjęła ciemny strój, który nosiła w czasie podróży i w grocie. W tej sukni jest całkiem biała – taka, jaką już Ją kiedyś widziałam. Głowę ma odkrytą, a w ramionach trzyma Jezusa, który śpi, nakarmiony mlekiem, zawinięty w białe pieluszki.

Pełen szacunku Zachariasz wstaje i pochyla się ze czcią. Potem podchodzi i patrzy na Jezusa z oznakami najwyższego poważania. Stoi pochylony, nie tyle żeby lepiej widzieć, ile – dla złożenia hołdu.

Maryja podaje mu Dziecię, a on bierze Je z taką czcią, jakby podnosił monstrancję. I rzeczywiście bierze w ramiona Hostię. To Hostia już ofiarowana, a zostanie spożyta, kiedy będzie dana ludziom na pokarm miłości i odkupienia.

Zachariasz oddaje Jezusa Maryi. Wszyscy siadają. Zachariasz powtarza Maryi, z jakiego powodu nie przyjechała Elżbieta i jak się tym martwiła:

«Przygotowywała przez ostatnie miesiące Iniane płótna dla Twego błogosławionego Syna. Przywiozłem je, są w wozie na dole» – mówi wstając. Wychodzi.

Wraca, niosąc dwie paczki: jedną dużą, a drugą – mniejszą. Z dużej – od której zaraz uwalnia go Józef – i z mniejszej wyciąga swe dary: mięciutką wełnianą kołderkę ręcznej roboty, płótna i małe





ubranka. Z drugiej wyjmuję miód, bielusięnką mąkę, masło i jabłka dla Maryi oraz przyrządzone i upieczone przez Elżbietę podpłomyki. Wyjmuję też wiele innych drobnych rzeczy, które świadczą o matczynych i pełnych wdzięczności uczuciach kuzynki dla młodej Matki.

«Powiedz Elżbiecie, że jestem jej wdzięczna... i tobie także jestem wdzięczna. Tak chętnie bym ją ujrzała, ale rozumiem jej powody. Chciałabym też zobaczyć małego Jana...»

«Zobaczycie go na wiosnę. Przyjedziemy was odwiedzić.»

«Nazaret jest zbyt daleko» – mówi Józef.

«Nazaret? Tu musicie zostać. Mesjasz powinien wzrastać w Betlejem. To miasto Dawida.

Najwyższy przywiódł was tu za pośrednictwem woli Cezara, by On urodził się na ziemi Dawida, w świętej ziemi Judei. Po co więc zabierać Go do Nazaretu? Wiecie przecież, jak szybko Judejczycy wydają sąd o Nazarejczykach. A przecież jutro to Dziecię ma być Zbawicielem Swego ludu. Stolica nie powinna więc lekceważyć swego Króla dlatego tylko, że pochodzi z pogardzanej okolicy. Znać, podobnie jak ja, nieufność Sanhedrynu i pogardę trzech głównych ugrupowań... A poza tym... tu będzie blisko mnie. Będę mógł wam pomagać i oddać wszystko, co posiadam, na służbę temu Dziecku... nie tyle dobra materialne, ile duchowe. Gdy już osiągnie wiek rozumny, stanę się Jego szczęśliwym nauczycielem. Będę Go kształcił razem z moim synem, żeby jako dorosły mnie pobłogosławił. Musimy myśleć o przeznaczonym Mu losie. Powinien ukazać się światu jako ktoś, kto ma wszelkie dane ku temu, by łatwo odnieść zwycięstwo. On, oczywiście, będzie posiadał Mądrość. Ale fakt, że kapłan był Jego nauczycielem, ułatwi Mu przyjęcie przez wymagających faryzeuszy oraz uczonych w Piśmie i usunie przeszkody w Jego misji.»

Maryja patrzy na Józefa, a Józef – na Maryję. Po-





nad niewinną głową Dziecka, które śpi, zaróżowione i nieświadome, odbywa się niema wymiana pytań. A pytania te pełne są smutku. Maryja myśli o Swoim małym domu. Józef rozmyśla o swej pracy. Tu trzeba wszystko zaczynać od nowa... w miejscu, w którym przed zaledwie kilkoma dniami nikt ich nie znał. Nie ma tu żadnej z pozostawionych tam rzeczy, przygotowanych z taką miłością dla Dziecka. Maryja mówi:

«Jak to zrobić? Zostawiliśmy tam wszystko. Józef tak się napracował dla Mojego Jezusa. Nie szczędził sił ani wydatków. Trudził się nocą, żeby w dzień pracować dla innych i zarobić na kupno najładniejszych desek, najdelikatniejszej wełny, białego lnu i żeby przygotować wszystko na przyjście Jezusa. Zbudował nawet ule. Pracował jako murarz, żeby inaczej urządzić dom, ażeby w Moim pokoju zmieściła się nie tylko kołyska, lecz także łóżko dla większego Jezusa, bo przecież On pozostanie przy Mnie, dopóki nie przestanie być małym chłopcem.»

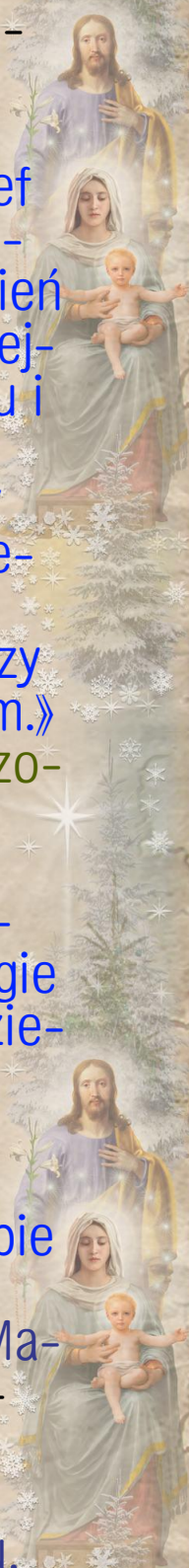
«Józef może tu przywieźć wszystko, co tam pozostało.»

Maryja odzywa się:

«A gdzie to damy? Wiesz, Zachariaszu, że jesteśmy biedni. Mamy tylko pracę i dom. Jedno i drugie pozwala nam żyć bez głodu.... A tu... może znajdziemy pracę... Musimy jednak pomyśleć o jakimś domu. Ta dobra niewiasta nie może nas tu ciągle gościć. A Ja nie mogę wymagać od Józefa większych poświęceń niż te, jakie już dla Mnie na siebie przyjął!»

«O, ja... To nie o mnie chodzi! Myślę o smutku Maryi, o bólu mieszkania poza własnym domem...» – odzywa się Józef. Maryja ma łzy w oczach.

«Myślę – mówi dalej Józef – że dla Niej dom w Nazarecie musi być drogi jak Raj, z powodu cudu, który tam się wydarzył... Mówię mało, ale tak wiele rozumiem! Tylko z tego powodu się dręcę. Będę pracował podwójnie. Jestem dość silny i młody,





aby podolać podwójnej pracy, jeśli trzeba, i zadbać o wszystko. Jeśli Maryja nie będzie zbytnio cierpiała... jeśli tak trzeba zrobić, jak mówisz... to ja... jestem gotów. Zrobię, co uznacie za słuszne. Wystarczy, że to będzie użyteczne dla Jezusa.»

«Z pewnością to będzie pożyteczne. Zastanówcie się, a uznacie powody.»

«Ale mówią też, że Mesjasz będzie nazwany Nazarejczykiem...» – wtrąca Maryja.

«To prawda. Ale przynajmniej póki nie dorośnie, niech wzrasta w Judei. Prorok powiedział: "A ty, Betlejem Efrata, staniesz się największe, bo z ciebie wyjdzie Zbawiciel". Nie mówi o Nazarecie. Możliwe, że Go tak nazwą z jakiegoś powodu, którego teraz nie znam. Jednak tu jest Jego ziemia.»

«Ponieważ mówisz tak ty, który jesteś kapłanem... więc my... my... ze smutkiem słuchamy cię i przyznajemy ci rację. Ale jakie to cierpienie!... Kiedy znów zobaczę dom, w którym zostałam Matką?»

Maryja cichutko płacze. Dobrze rozumiem Jej cierpienie. Och, jak dobrze je rozumiem! Na płaczu Maryi kończy się dla mnie to widzenie.

▲ do góry

## 52. Józef jest także opiekunem poświęconych Bogu

Tego samego dnia. A, 2796-2803

Potem mówi Maryja:

«Rozumiesz to. Wiem o tym. Ale zobaczysz Mnie, jak jeszcze bardziej płaczę. Na razie przynoszę ulgę twojemu duchowi, pokazując ci świętość Józefa, który był człowiekiem. Znaczy to, że nie miał innej pomocy dla swego ducha, jak tylko własną świętość. Ja zaś miałam wszelkie dary Boże jako Niepokalana. Nie wiedziałam, że nią jestem. Jednak w duszy Mojej działały te dary i udzielały Mi duchowych sił. On jednak nie był niepokalanie poczęty. Posiadał naturę człowieka z całym jej ciężarem. Z





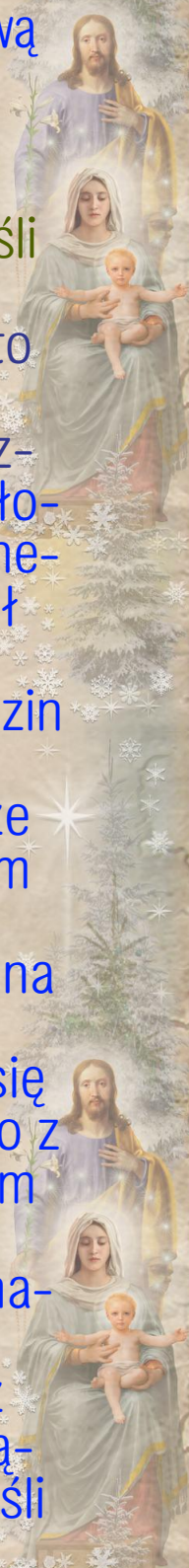
nim musiał wznosić się ku doskonałości poprzez stały wysiłek wszystkich swych uzdolnień, pragnąc osiągnąć doskonałość i być miłym Bogu.

O, święty Mój mążnek! Święty we wszystkim, także w najbardziej pokornych sprawach życia. Święty dzięki swojej anielskiej czystości. Święty dzięki swojej ludzkiej uczciwości. Święty przez swą cierpliwość, pracowitość, przez swój zawsze taki sam spokój duchowy, przez swą skromność – przez wszystko. Ta świętość jaśnieje także w tym wydarzeniu. Kapłan mówi mu: "Dobrze będzie, jeśli tu się osiedlisz", a on – chociaż wiedział, na jak wielki trud go to naraża – odpowiada: "Dla mnie to nic. Myślę o cierpieniu Maryi. Gdyby nie to, nie martwiłbym się. Wystarczy, że będzie to pożyteczne dla Jezusa". Jezus, Maryja – jego anielskie miłości. Mój święty mążnek nie miłował niczego innego na ziemi. I dla tej miłości samego siebie uczynił sługą.

Uczyniono go opiekunem chrześcijańskich rodzin i pracujących, i wielu innych kategorii ludzi. Ale oprócz konających, małżonków i robotników także osoby konsekrowane winny uczynić Józefa swoim opiekunem.

Czy ktoś, kto poświęcił się na ziemi na służbę, na jakąkolwiek służbę, oddał się na służbę swemu Bogu? Czy ktoś jak on przyjął wszystko, wyrzekł się wszystkiego, znosił wszystko, spełniając wszystko z ochotą, z duchem radosnym, ze stałym pogodnym usposobieniem? Nie, nie ma takiego.

I jeszcze zwracam ci uwagę na coś innego, a nawet – na dwie sprawy. Zachariasz jest kapłanem. Józef nim nie jest. Zauważ jednak, że on, chociaż nie jest kapłanem, ma ducha bardziej przebywającego w Niebie niż duch kapłański. Zachariasz myśli po ludzku i po ludzku wyjaśnia Pisma. Nie po raz pierwszy to robi, pozwalając się prowadzić ludzkiemu rozumowaniu. Został już za to ukarany. Znowu w tym się pogrąża, chociaż mniej groźnie. Powie-





dział przed narodzeniem Jana: "Jakże to może się stać, skoro jestem stary, a moja żona jest bezpłodna?" Teraz mówi: "Aby przygotować sobie drogę, Chrystus ma wzrastać tutaj". Z korzeniem pychy, który istnieje nawet w najlepszych, myśli, że będzie użyteczny dla Jezusa. Nie chce być potrzebny tak jak Józef, przez służenie Jezusowi. Pragnie być użyteczny jako Jego nauczyciel... Bóg mu wybaczył, gdyż miał dobrą intencję. Czy jednak 'Nauczyciel' potrzebował kiedykolwiek nauczycieli?

Próbowałam ukazać mu światło w prorocत्वach. On jednak uważał się za bardziej uczonego ode Mnie i posługiwał się swą wiedzą po swojemu. Mogłam nalegać i zwyciężyć. Ale – i to jest ta druga sprawa, którą ci ukazuję – mam w Sobie szacunek dla kapłana z powodu jego godności, a nie z powodu jego wiedzy.

Kapłan zazwyczaj jest zawsze oświecony przez Boga. Powiedziałam: "zazwyczaj". Dzieje się tak, kiedy jest prawdziwym kapłanem. Nie uświęca jednak szata, lecz dusza. Ażeby stwierdzić, czy ktoś jest prawdziwym kapłanem, trzeba rozważyć to, co wychodzi z jego duszy. Jak powiedział Mój Jezus: "to z duszy wychodzą rzeczy, które uświęcają lub czynią nieczystym", które kształtują cały sposób działania jednostki. Kiedy zatem ktoś jest prawdziwym kapłanem, na ogół zawsze jest natchniony przez Boga. Jeśli chodzi o innych, o tych, którzy tacy nie są, to trzeba ich darzyć nadprzyrodzoną miłością i modlić się za nich.

Mój Syn włączył cię już do tej odkupieńczej służby i dlatego nic więcej ci nie mówię. Ciesz się z cierpienia, bo rośnie liczba prawdziwych kapłanów. Opieraj się na słowach tego kierownika duchowego, który cię prowadzi. Wierz i kieruj się jego radami.

(por. Mt 2, 13n) Posłuszeństwo zawsze prowadzi do ocalenia. Nawet wtedy, gdy rada, którą otrzymujemy, nie jest pod każdym względem doskonała. Wi-





dzisz to. My byliśmy posłuszni. I to było dobre. Herod wprowadzie ograniczył się do zabijania dzieci w Betlejem i okolicy. Czyż jednak szatan nie mógł go skłonić do rozszerzenia o wiele dalej tej fali nienawiści i namówić wszystkich potężnych z Palestyny do takiej samej zbrodni, aby zgładzić przyszłego Króla żydów? Mógłby to uczynić. I stałoby się wtedy coś podobnego, jak w czasie publicznej działalności Chrystusa, kiedy powtarzające się cuda obudziły uwagę tłumów i przyciągnęły wzrok potężnych. Gdyby to się zdarzyło, w jaki sposób udałoby nam się przemierzyć całą Palestynę, aby dotrzeć z odległego Nazaretu do Egiptu, ziemi gościnnej dla prześladowanych Hebrajczyków? Jakże moglibyśmy to zrobić z małym dzieckiem, w czasie szalejącego prześladowania? Łatwiejsza, choć równie bolesna, była ucieczka z Betlejem. Posłuszeństwo zawsze prowadzi do ocalenia. Pamiętaj o tym. A szacunek dla kapłana to zawsze znak chrześcijańskiej formacji.

Biada – a powiedział to Jezus – biada kapłanom, którzy tracą swój apostołski zapach! Ale biada także temu, kto się uważa za uprawnionego do gardzenia nimi! Oni bowiem konsekrują i rozdzielają Chleb Prawdziwy, który z Nieba zstępuje. A ten kontakt czyni ich konsekrowanymi – tak, jak kielich jest konsekrowany – nawet jeśli świętymi nie są. Odpowiedzą za to przed Bogiem. Wy tylko szanujcie ich jako kapłanów i nie zajmujcie się niczym innym. Nie bądźcie bardziej nieugięci od waszego Pana, Jezusa, który – na ich nakaz – opuszcza Niebo i zstępuje, by Go podniosły ich ręce. Uczcie się od Niego. A jeśli są ślepi, jeśli są głusi, jeśli mają sparaliżowane dusze i chore myśli, jeśli są pokryci trądem grzechów, jeśli są zbyt skłóceni z własną misją, jeśli są łazarzami w grobie, zawołajcie Jezusa, aby ich uzdrowił i aby ich wskrzesił.

Wzywajcie Go waszymi modlitwami i cierpieniem, o dusze-ofiary. Zbawić jedną duszę to swojej duszy





zapewnić Niebo. A zbawić jedną duszę kapłańską  
znaczy zbawić wielką liczbę dusz, bo każdy święty  
kapłan jest siecią, która ciągnie dusze do Boga.  
Zbawić kapłana, czyli uświęcić – ponownie uświęcić  
– to utworzyć tę mistyczną sieć. Każda jej zdobycz  
to światło, które się dołącza do waszej wiecznej  
korony. Pozostań w pokoju.»

▲ do góry

## 53. Ofiarowanie Jezusa Bogu w świątyni

(por. Łk 2, 21-38)

Napisane 1 lutego 1944. A, 1679-1688

Widzę, jak z bardzo skromnego domku wychodzi para ludzi. Po zewnętrznych schodkach zstępuje młodziutka Matka, trzymająca w ramionach dziecko, owinięte białym płótnem. Poznaje, że to nasza Mama. Jak zawsze jest blada, jasnowłosa, zwinna i w całej postaci tak pełna wdzięku. Ubrana na biało i osłonięta bladoniebieskim płaszczem. Na głowie ma biały welon. Niesie bardzo ostrożnie Swe Dziecko. U stóp schodów czeka na Nią Józef trzymający szarego osiołka. Ubranie Józefa jest jasnobrązowe, tak szata jak i płaszcz. Patrzy na Maryję i uśmiecha się. Kiedy Matka Jezusa podchodzi do osła, Józef przekłada przez lewe ramię wodze i bierze na chwilę śpiące spokojnie Dzieciatko, żeby Maryja mogła wygodnie usiąść w siodle. Potem podaje Jej Jezusa i ruszają w drogę.

Józef idzie obok, trzymając osła za uzdę. Patrzy uważnie, by się nie potykał i szedł równo.

Maryja trzyma Jezusa na kolanach i zakrywa go płaszczem, jakby obawiała się, że zaszkodzi Mu zimno. Małżonkowie mówią niewiele, ale często uśmiechają się do siebie.

Dosyć marna droga ciągnie się przez ogołococone o tej porze roku pola. Mijają ich lub wyprzedzają inni wędrowcy. Nie ma ich zbyt wielu.

Potem pojawiają się nagle domy i mury otaczają-





ce miasto. Małżonkowie wchodzą przez bramę i zaczyna się przejazd po miejskim bruku. Droga staje się coraz trudniejsza, bądź to z powodu ruchu, który co chwilę zatrzymuje ośła, bądź to dlatego że on sam potyka się na kamieniach albo wpada do dziur po brakujących kamieniach brukowych. Porusza się przeszkadzając Maryi i Dziecku.

Wąska droga jest nierówna, trudna, wznosi się powoli. Prowadzi pomiędzy wysokimi domami o ciasnych i niskich wejściach oraz nielicznych oknach od strony drogi. W górze – między domami, między tarasami – widać skrawki błękitnego nieba. W dole, na ulicy, jest ludno i gwarno. Mijają ludzi przechodzących pieszo lub na ośłach. Inni prowadzą juczne zwierzęta, które idą za tarasującą drogę karawaną wielbłądów. W pewnej chwili, czyniąc wiele hałasu swym krokiem i bronią, przechodzi patrol rzymskich legionistów. Potem znika za łukiem wąskiej, bardzo kamienistej uliczki.

Józef skręca w lewo w nieco szerszą, ładniejszą ulicę. W jej głębi widzę znany mi już pas murów uwieńczonych blankami.

Maryja zsiada z osiołka przy bramie, gdzie znajduje się coś w rodzaju miejsca postoju dla zwierząt. Mówię "miejsce postoju", bo jest to rodzaj szopy lub raczej wiaty usłanej słomą i zaopatrzonej w paliki z kółkami, które są przeznaczone do przywiązywania czworonogów. Józef daje nadbiegającemu chłopcu kilka monet, żeby kupić trochę siana, po czym czerpie kubeł wody ze znajdującej się w kącie prymitywnej studni i poi osiołka.

Potem wraca do Maryi. Razem wchodzą w obręb Świątyni. Udają się najpierw do krużganków, gdzie znajdują się ci, których Jezus później tak wychłostał: sprzedawcy synogarlic i baranków oraz wymieniający pieniądze. Józef kupuje dwa białe gołębie. Pieniądzy nie wymienia. Sądzę, że ma już to, czego potrzebuje.

Józef i Maryja idą w stronę bocznej bramy, do





której prowadzi osiem schodów, takich jakie zdają się posiadać wszystkie pozostałe bramy, bo ścian samej Świątyni jest wyżej niż pozostała część gruntu. Brama ta ma duży przedsionek, mniej więcej taki – żeby dać jakieś wyobrażenie o niej – jaki mają bramy w naszych miejskich kamienicach. Jest jednak szerszy i ozdobiony. Wewnątrz, po prawej i lewej stronie, znajdują się dwie czworokątne konstrukcje, jakby dwa ołtarze. Trudno od razu zrozumieć, do jakiego celu służą. Wyglądają jak płytkie misy, gdyż ich wnętrze jest niższe od brzegu zewnętrznego, podwyższonego o kilka centymetrów.

Nadchodzi kapłan. Nie wiem, czy przywołał go Józef, czy sam przyszedł. Maryja podaje mu dwa biedne gołąbki, a ja – domyślając się, jaki los je czeka – patrzę w inną stronę. Przyglądam się zdobieniom bardzo masywnego portalu, sufitu i przedsionka. Dostrzegam kątem oka, że kapłan chyba kropi Maryję wodą. Z pewnością jest to woda, gdyż nie widzę plam na Jej ubraniu. Potem Maryja wraz z Józefem – po oddaniu kapłanowi gołąbków i garstki monet (o czym zapomniałam powiedzieć) – wchodzi na teren właściwej Świątyni. Przed nią idzie kapłan.

Rozglądam się na wszystkie strony. To miejsce jest bardzo ozdobione. Rzeźby głów anielskich, palmy i ornamenty na kolumnach, ścianach, suficie. Światło wślizguje się przez umieszczone w ścianach osoblliwe, wąskie i długie – oczywiście bez szyb – ukośnie wycięte okna. Sądzę, że są wykonane w ten sposób, aby uniemożliwić wlewanie się wody podczas gwałtownej ulewy.

Maryja idzie aż do pewnego miejsca, potem zatrzymuje się. Kilka metrów przed nią znajdują się następne schody, na których stoi inny rodzaj ołtarza, a za nim – jakaś odmienna konstrukcja.

Spostrzegam, że dotąd mylnie sądziłam, iż znajduję się w Świątyni. Teraz widzę, że jestem w tym, co okala prawdziwą i właściwą Świątynię – czyli





Miejsce Święte – dokąd, jak się zdaje, nie może wejść nikt, poza kapłanami. To, co zdawało mi się Świątynią, jest tylko zamkniętym przedsionkiem. Otacza on z trzech stron samą Świątynię, w której znajduje się Tabernakulum. Nie wiem, czy wyrażam to dobrze, bo nie jestem ani inżynierem, ani architektem.

Maryja ofiarowuje Dziecko. Przebudziło się Ono i niewinnymi oczkami patrzy wokół Siebie i na kapłana. Spogląda zdumionym spojrzeniem niemowląt, mających niewiele dni. Kapłan bierze Je na ręce i podnosi, wyciągając w górę ramiona. Twarz ma zwróconą w stronę Miejsca Świętego. Stoi przy czymś w rodzaju ołtarza, umieszczonego na tych schodach. Obrzęd zakończył się. Dziecię wraca do Mamy, a kapłan odchodzi.

(por. Łk 2, 25-35) Są tam ludzie, którzy przyglądają się z zaciekawieniem. Pośród nich toruje sobie z trudem drogę zgarbiony, wsparty na lasce starzec. Musi być bardzo stary. Myślę, że ma ponad osiemdziesiąt lat. Zbliża się do Maryi i prosi, żeby mu na chwilę podała Maleństwo. Maryja zgadza się z uśmiechem.

Symeon – o którym zawsze myślałam, że należał do klasy kapłanów – jest zwykłym wiernym, przynajmniej sądząc po szacie. Bierze Dziecko na ręce, całuje. Jezus uśmiecha się do niego Swoim niemowlęcym sposobem. Zdaje się obserwować go z zaciekawieniem, bo starzec śmieje się i równocześnie płacze. Jego łzy, wpływające pomiędzy zmarszczki, tworzą połyskliwy haft i perłą długą białą brodę, ku której Jezus wyciąga rączki. To Jezus, ale też maleńkie dziecko. Wszystko więc, co się przed Nim porusza, przyciąga Jego uwagę. Bardzo chce to chwycić, żeby lepiej zrozumieć, co to jest. Maryja i Józef uśmiechają się, a obecni podziwiają piękno Maleństwa.

Słyszę słowa świętego starca i widzę zaskoczone spojrzenie Józefa, wzruszenie Maryi oraz to, co się





dzieje w małym tłumie. Jedni są zdumieni i poruszeni, w innych słowa starca wywołują wesołość. Do nich należą między innymi nadęci, brodaci mężczyźni, członkowie Sanhedrynu. Kiwają oni głowami i patrzą na Symeona z drwiącym współczuciem. Zapewne myślą, że mu się ze starości pomieszało w głowie.

Uśmiech Maryi gaśnie i twarz oblewa się większą bladością, kiedy Symeon przepowiada Jej cierpienie (por. Łk 2, 34-35). Chociaż Maryja wie, to jednak te słowa ranią Jej ducha. Staje więc bliżej Józefa, żeby dodać sobie otuchy. Tuli z miłością Dzieciątka do piersi i ze spragnioną duszą chłonie słowa Anny, córki Fanuela. Niewiasta ta lituje się nad Jej cierpieniem i zapowiada, że w godzinie boleści Przedwieczny złagodzi je nadprzyrodzoną mocą. Mówi:

«Niewiasto! Temu, który dał Zbawiciela Swemu ludowi, nie zabraknie mocy, by dać Ci Swego anioła i ukoić Twój płacz. Wielkim niewiastom w Izraelu nie zabrakło nigdy pomocy Pana, a Ty jesteś znacznie większa niż Judyta i Jael. Nasz Bóg da Ci serce z najszlachetniejszego złota, żebyś mogła wytrwać w morzu boleści, przez co staniesz się największą Niewiastą pośród stworzeń: Matką. A Ty, Dziecię, wspomnij na mnie w godzinie Twojej misji.»

I na tym widzenie ustaje.

▲ do góry

## 54. Pouczenia wynikające z poprzedniej wizji

Napisane 2 lutego 1944. A, 1688-1694

Mówi Jezus:

«Dwa pouczenia dla wszystkich wynikają z opisu, który dałaś.

Pierwsze: Prawda objawia się nie kapłanowi oddanemu obrzędowi, a nieobecnemu duchem, lecz zwykłemu wiernemu.

Kapłan w ciągłym kontakcie z Boskością, zajmujący się tym, co ma związek z Bogiem, oddany





wszystkiemu, co wznioślejsze niż ciało, powinien być natychmiast wyczuć, kim było Dziecko ofiarowane w Świątyni tego poranka. Aby jednak móc to wyczuć, musiałby mieć żywego ducha, a nie tylko szatę, która zakrywa ducha, jeśli nie martwego, to bardzo ośpalego. Duch Boży może, jeśli tylko chce, zagrzmieć Swoim głosem i wstrząsnąć nawet najbardziej otępiałym duchem, jakby gromem i trzęsieniem ziemi. Może. Ponieważ jednak jest On Duchem porządku – jak jest ładem Bóg w każdej Swej Osobie i sposobie działania – na ogół wylewa się i przemawia tam, gdzie widzi "dobrą wolę", zasługującą na Jego wylanie. Nie mówię: tam, gdzie jest zasługa wystarczająca do otrzymania Jego wylania. Wtedy bowiem zbyt rzadko by się wylewał. I ty również nie poznałabyś Jego światła.

W jaki sposób wyraża się ta dobra wola? Przez życie, na ile to możliwe, całkowicie Boże. Przez wiarę, przez posłuszeństwo, przez czystość, przez miłość, przez hojność, przez modlitwę. Nie przez bezduszne praktyki, lecz przez modlitwę. Mniejsza jest różnica między nocą i dniem niż między różnymi praktykami i modlitwą. Modlitwa jest łącznością ducha z Bogiem. Wychodzicie z niej umocnieni i zdecydowani być bardziej Bożymi. Praktykowanie czegoś to przyzwyczajenie, wykonywane dla różnych celów, ale zawsze egoistycznych. Bezduszne praktykowanie czegoś pozostawia was bez zmian takimi, jakimi jesteście, a nawet bardziej was obciąża winą kłamstwa lub lenistwa.

Symeon miał tę dobrą wolę. Życie nie oszczędziło mu zmartwień i doświadczeń, ale on nie utracił swej dobrej woli. Lata i wydarzenia nie naruszyły i nie wstrząsnęły jego wiarą w Pana, w Jego obietnice, nie osłabiły jego dobrego pragnienia, by stawać się coraz bardziej godnym Boga. I zanim oczy wiernego sługi zamknęły się na światło słońca, by oczekiwać na ponowne otwarcie się na Słońce Boże jaśniejące z Niebios – które po Moim Męczeń-





stwie miały się otworzyć na Moje wejście – Bóg posłał mu promień Ducha. On zaprowadził go do Świątyni, aby ujrzał Światłość, która przyszła na świat.

"Poruszony przez Ducha Świętego" – mówi Ewangelia. O, gdyby ludzie wiedzieli, jakim doskonałym Przyjacielem jest Duch Święty! Jakim jest Przewodnikiem, jakim Nauczycielem! Gdyby pokochali i wezwali tę Miłość Najświętszej Trójcy, tę Światłość Światłości, ten Ogień Ognia, tę Inteligencję, tę Mądrość! O ileż więcej wiedzieliby od tego, co wiedzieć trzeba!

Spójrz, Mario! Patrzcie, dzieci! Symeon czekał przez całe długie życie na "zobaczenie Światłości" i poznał wypełnienie się Bożej obietnicy. Nigdy nie zwątpił. Nie powiedział sobie nigdy: "Daremnie trwam w nadziei i na modlitwie". Wytrwał. I dostał "ujrzenia" tego, czego nie zobaczył kapłan i członkowie Sanhedrynu, pełni pychy i zaślepienia. Dostrzegł Syna Bożego, Mesjasza, Zbawiciela w tym dziecięcym ciele, które dało mu ciepło i uśmiech. Otrzymał uśmiech Boga na Moich wargach Dziecka: pierwszą nagrodę za życie uczciwe i pobożne.

Drugie pouczenie: słowa Anny, córki Fanuela (por. Łk 2, 36-38). Także ona, prorokini, zobaczyła we Mnie, Niemowlęciu, Mesjasza. To, zważywszy jej zdolność prorocką, nie było czymś zupełnie zaskakującym. Posłuchaj jednak, posłuchajcie tego, co – pobudzona wiarą i miłością – mówi do Mojej Matki. Niech to stanie się światłem dla waszego ducha, który drży w tym czasie ciemności i w ten dzień święta Światłości.

"Temu, który dał Zbawiciela, nie braknie mocy żeby dać Swojego anioła dla ukojenia Twojego, waszego 'płaczu'." Pomyślcie, że Bóg dał Siebie samego dla unicestwienia w duchach dzieła szatana. Czyż nie będzie mógł zwyciężyć teraz demonów, które was dręczą? Czy nie będzie mógł osuszyć waszych łez, zmuszając te złe duchy do ucieczki i





zsyłając na nowo pokój Swego Chrystusa? Dlaczego nie prosicie Go o to z wiarą prawdziwą, potężną? Z wiarą, przed którą surowość Boża, rozgniewana przez tak wiele waszych grzechów, opada z uśmiechem. Przychodzi wtedy przebaczenie stanowiące pomoc i przychodzi Jego błogosławieństwo. Ono jest tęczą na tej ziemi, zatapiającej się w powodzi krwi, której sami chcecie.

Zastanówcie się. Ojciec, po ukaraniu ludzi Potopem, powiedział do Siebie i do Swego Patriarchy: "Nie będę przeklinał więcej ziemi z powodu ludzi, bo zmysły i myśli serca ludzkiego są skłonne do zła począwszy od młodości; przeto nie ukarzę więcej żadnej istoty żyjącej, jak to uczyniłem". I był wierny Swojemu słowu. Nie zesał już więcej Potopu. A wy, ileż to razy mówiliście sobie i Bogu: "Jeśli ocalejemy tym razem, jeśli Ty nas ocalisz, nie wywołamy już nigdy więcej wojny, nigdy więcej", a potem ciągle je wywoływaliście, i to coraz straszniejsze. Ileż razy uczyniliście to, o fałszywi i nie szanujący Pana ani własnego słowa? A jednak – gdyby wielu wiernych wzywało Go z wiarą i potężną miłością – Bóg pomógłby wam jeszcze raz.

Złóżcie wasz niepokój u stóp Boga, o, wy wszyscy, których jest zbyt mało dla zrównoważenia grzechów tych licznych, którzy sprawiają, że surowość Boża musi działać. Pozostańcie Jemu oddani pomimo przerażającej godziny, która ciąży nad wami i wzrasta w każdej chwili. On zaś będzie umiał posłać wam Swego anioła, jak posłał Zbawiciela na świat. Nie bójcie się. Jednoczcie się z Krzyżem Jezusa. On zawsze pokonywał demona, który usiłował doprowadzić Jego serce do rozpacz, czyli do oddalenia od Boga. Ponieważ zaś szatan nie potrafił osiągnąć tego innym sposobem zastawiał na Niego zasadzki okrucieństwa ludzi i smutków życia. »



# 55. Kołysanka Dziewicy

Napisane 28 listopada 1944. A, 4012-4016

Dzisiejszego ranka miałam miłe przebudzenie. Zanurzona jeszcze w półśnie usłyszałam przeczysty głos śpiewający cichutko powolną kołysankę. Była podobna do kolędy na Boże Narodzenie, powolna i przypominająca dawne pieśni. Wsłuchiwałam się w treść i w ten coraz bardziej uszczęśliwiający mnie głos i przytomniałam pod wpływem jego brzmienia. Obudziłam się wreszcie i zrozumiałam. Powiedziałam: «Witam Cię, Maryjo, pełna łaski!», bo to Mama śpiewała. Ona odpowiedziała: «Ja też cię witam. Przyjdź i bądź szczęśliwa!» i śpiewała głośniej.

Wtedy ujrzałam Ją – w domu betlejemskim, w izdebce – zajętą kołysaniem Jezusa, aby Go uśpić. W pokoju znajdowały się krosna Maryi i jakieś szycie. Wyglądało to tak, jakby Maryja przerwała pracę, żeby nakarmić Dziecię i zmienić pieluszki, a raczej szatki, bo ma już Ono kilka miesięcy... Sądzę, że sześć – najwyżej osiem... Zapewne zamierzała szyć dalej, gdy tylko Dziecko uśnie.

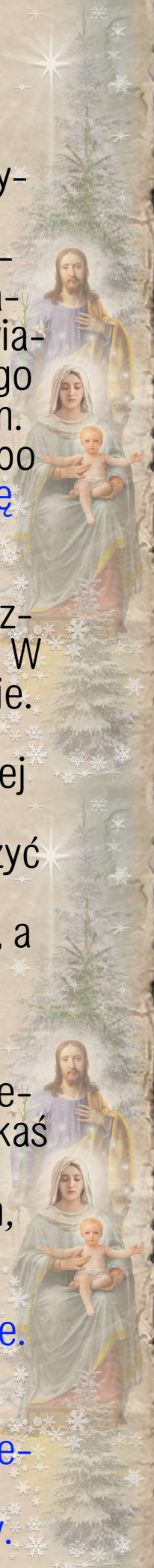
Był wieczór. Zmrok już zapadł prawie zupełnie, a pogodne niebo usiane było złotymi obłoczkami. Owce powracały właśnie do zagrody, skubiąc ostatnie trawy na ukwieconej łące i podnosząc pyszczki z pobekiwaniem. Dziecię zdawało się nieco pobudzone, jakby dokuczały Mu ząbki albo jakaś inna mała dziecięca dolegliwość.

Na skrawku papieru zanotowałam, jak umiałam, słowa pieśni, mimo półmroku panującego o tej bardzo wczesnej godzinie, i przepisuję je teraz:

«Obłoczki całkiem złociste – niby stada Pańskie.  
Na kwitnym pastwisku stoi i spogląda na was  
inne stado.

Choćbym miała wszystkie stada, które są na ziemi,

najmilszym Moim jagniątkiem byłbyś zawsze Ty.





Śpij, śpij, śpij, śpij... I już nie płacz....  
Jaśnieją tysiące gwiazd – są na niebie i patrzą.  
Nie pozwól już płakać Twym słodkim żrenicom.  
Twoje oczy z szafiru są gwiazdami w Mym sercu.  
Twój płacz to Mój ból! O! Nie płacz już...

Śpij, śpij, śpij, śpij... I już nie płacz...  
Wszyscy aniołowie jaśnieją – ci, którzy są w Raju.  
Koronę wiją Tobie, niewinnemu,  
by się radować Twą twarzyczką, a Ty płaczesz.

Chcesz Mamy, chcesz Mamy, Mamy,  
żeby Ci śpiewała "lili-laj". Lili, lili, lili-laj...

Śpij, śpij, śpij, śpij... I już nie płacz...  
Niebo już różowieje powracającą zorzą.  
A Mama jeszcze czuwa, żebyś Ty nie płakał.

Gdy się zbudzisz, powiesz Mi: "Mamo!",  
a Ja Ci odpowiem: "Syneczku!".

I razem z mlekiem dam Ci całusy, miłość i życie...

Śpij, śpij, śpij, śpij... I już nie płacz...

Nie możesz być bez Mamy, nawet gdy marzysz o  
Niebie.

Chodź, chodź! Uśpię Cię pod Moim welonem.

Zrobię Ci z piersi poduszkę, a z Moich ramion ko-  
łyskę.

Nie musisz się bać niczego, bo Ja jestem przy  
Tobie...

Śpij, śpij, śpij, śpij... I już nie płacz...

Zawsze będę przy Tobie. Tyś życiem jest Mego  
serca.

Zasnął... Wygląda jak kwiatek na matczynej  
piersi...

Zasnął... Zachowajcie milczenie! Może widzi Świę-  
tego Ojca...

Jego widok ukoił płacz Mojego słodkiego Jezu-  
sa...

Zasnął, zasnął, zasnął, zasnął... I już nie płacze...»

Trudno wyrazić urok tej sceny. Jest to kołysząca  
swe maleństwo matka. Ale jakaż to Matka i jakie  
Dzieciątko! Można więc sobie wyobrazić, jaki  
wdzięk, jaka miłość, jaka czystość i jakie Niebiosa





są obecne w tej małej, a tak wielkiej i spokojnej scenie. Napełnia mnie radość, która trwa i umacnia się dzięki przypominającej mi się melodii. Będzie jej mógł ojciec posłuchać. Niestety nie posiadam srebrzystego, najczystszej głosu Maryi – dziewiczego głosu Dziewicy!... Wydam się chrapliwym akordeonem. Ale to nic. Zaśpiewam, jak umiem. Jakże piękna byłaby to kolęda do zaśpiewania w Boże Narodzenie przy żłóbku!

Z początku Mama poruszała powoli drewnianą kołyską. Potem – widząc, że Jezus nie może się utulić – wzięła Go na ręce. Usiadła przy otwartym oknie, tuż obok kołyski, i poruszała się lekko w rytm pieśni, powtarzając dwa razy kołysankę, aż mały Jezus zamknął oczka. Zwrócił główkę ku matczynej piersi i zasnął tak, wtulony buzią w Jej ciepło, z jedną rączką opartą tuż przy różowym policzku, złożonym na piersi Mamy, a z drugą – opuszczoną na Jej kolana. Welon Maryi osłaniał Święte Dzieciątko. Potem Maryja wstała i z niewystłowioną troskliwością złożyła Jezusa w kołysce. Przykryła Go małym kawałkiem płótna, kładąc na kołysce także Swój welon, żeby ochronić Jezusa przed owadami i chłodem powietrza. Pozostała w takiej postawie, podziwiając Swój śpiący Skarb.

Jedną rękę trzymała na sercu, drugą opierała się o krawędź kołyski. Trwała tak, gotowa w każdej chwili – gdyby Dziecko się przebudziło – zacząć kołysanie od nowa. Uśmiechała się, szczęśliwa. Stała lekko pochylona, podczas gdy mrok i cisza zstępowały na ziemię, ogarniając izdebkę Dziewicy.

Jakiż pokój! Jakie piękno! Jestem szczęśliwa!

Nie ma w tym widzeniu nic widowiskowego i może zostanie osądzone jako zbędne wśród innych, jako nie ujawniające nic szczególnego. Wiem. Dla mnie jednak to prawdziwa łaska. Tak przynajmniej uważam. Sprawia bowiem, że mój duch staje się spokojny, czysty i miłujący, jakby został odrodzony przez ręce Mamy. Myślę, że przez to i ojcu





się spodoba. Jesteśmy "dziećmi". Tak jest lepiej. Podobamy się Jezusowi. Niech inni, wykształceni i skomplikowani, myślą co chcą i nazwą nas "dziecińnymi". My się tym nie zajmujemy, prawda?

▲ do góry

## 56. Pokłon trzech Magów

Napisane 28 lutego 1944. A, 2091-2109

(por. Mt 2,1-12)

Mój wewnętrzny informator mówi: «To rozważanie, które otrzymasz i które ci skomentuję, nazwij "Ewangelią Wiary". Zostanie ono bowiem przedstawione tobie i innym po to, aby ukazać wam potęgę Wiary i jej owoce, ażeby utwierdzić was w wierze w Boga.»

Widzę małe i białe domki Betlejem, zgromadzone jak pisklęta pod światłem gwiazd.

Przecinają je na krzyż dwie główne drogi. Jedna z nich przebiega miejscowość od jednego krańca do drugiego, ale nie dalej. Druga biegnie z daleka przez całą okolicę i ciągnie się ku innej osadzie. Małą miejscowość przecinają inne wąskie i kręte uliczki. Nie ma najmniejszej prawidłowości w rozplanowaniu ulic, tak jak to występuje u nas. Dostosowują się one raczej do terenu i jego różnych poziomów oraz do położenia domów wybudowanych to tu, to tam, w zależności od kaprysu gruntu i jego właściciela. Jedne dróżki zwrócone są w lewo, inne – w prawo, a jeszcze inne biegną ukośnie w stosunku do drogi głównej. Wygląda ona jak wstęga, która – zamiast biec prosto od jednego punktu do drugiego, bez skręcania – rozwija się i pełna jest zawijasów. Od czasu do czasu widać albo mały placik służący za targowisko, albo jest tu studnia, albo to reszta gruntu po budowach bez planu, tak krzywa, że już nic nie można na niej zbudować.

W miejscu, w którym – jak sądzę – mam się koniecznie zatrzymać, jest właśnie jeden z takich nie-





kształtnych placyków. Powinien być kwadratowy lub chociaż mniej więcej prostokątny. Tymczasem stał się trapezem tak dziwacznym, że wydaje się trójkątem ostrokątnym o ściętym wierzchołku. U najdłuższego boku, u podstawy tego trójkąta, stoi szeroka i niska budowla. Jest największa w okolicy. Od zewnątrz znajduje się gładka i naga ściana, w której znajdują się zaledwie dwie, teraz całkiem zamknięte bramy. Na pierwszym piętrze natomiast, od środka, w jej obszernym kwadracie, są liczne okna, a pod nimi ciągną się – zarzucone słomą i odpadkami – krużganki. Otaczają one podwórze, zaopatrzone w kadzie do pojenia koni i innych zwierząt. Proste kolumny krużganków mają kółka służące do przywiązywania zwierząt. Po jednej stronie dziedzińca mieści się obszerna wiata do przetrzymywania trzody i koni. Domyślałem się, że to gospoda w Betlejem.

Po obu stronach placu, jednakowej długości, stoją domy i domki. Przed jednymi są niewielkie ogrody, przed innymi ich nie ma. Jedne z nich bowiem stoją zwrócone fasadami w stronę placu, a inne są odwrócone tyłem. Po drugiej, znacznie krótszej stronie – naprzeciw gospody będącej miejscem postoju karawan – znajduje się jedyny domek z zewnętrznymi schodkami. Kończą się one w połowie fasady i prowadzą do izb mieszkalnych, które znajdują się na piętrze. Wszystkie okna są zamknięte, bo jest noc. Z powodu późnej pory nie widać także nikogo na ulicy.

Dostrzegam wzrastającą nocną poświatę. Napływa ona z nieba pełnego gwiazd. Na orientalnym niebie są one piękne, tak jasne i ogromne, że zdają się tak bliskie, iż z łatwością można dosięgnąć i dotknąć te kwiaty błyszczące na aksamitnym nieboskłonie. Podnoszę oczy, żeby dostrzec źródło tego wzrastającego światła. Gwiazda o tak niebywalej wielkości, jakby mały księżyc, przesuwa się naprzód po niebie nad Betlejem. Inne wydają się ga-





snąć, żeby zrobić jej miejsce, jak dwórki na przejście królowej. Jej blask góruje nad nimi i sprawia, że znikają w jej świetle. Z tej kuli – zdającej się olbrzymim jasnym szafirem, rozpalonym od wewnątrz przez słońce – wypływa smuga, a w jej dominującą barwę jasnego szafiru, wtapiają się żółcie topazów i zielenie szmaragdów, opalizujący blask opali, krwawa czerwień rubinów i łagodne błyski ametystów. Wszystkie drogocenne kamienie ziemi są w tej smudze, która zmiata niebo szybkim, falującym ruchem, jakby była żywa. Jednak najintensywniejszym kolorem, wydobywającym się z kuli gwiazdy, jest rajski odcień bladego szafiru. Zstępuje on, zdobiąc lazurowym srebrem domy, drogę, ziemię Betlejem – kolebkę Zbawiciela.

Nie jest to już ubogie miasteczko, które dla nas byłoby mniejsze od wieśniaczej osady. To jakby czarowane miasto z bajki, w którym wszystko jest ze srebra. Nawet woda w studniach i zbiornikach wygląda jak płynny diament.

Gwiazda, rozbłyskując żywszym blaskiem, zatrzymuje się nad małym domem, który znajduje się przy najkrótszym boku placu. Ani jego mieszkańcy, ani inni Betlejemici nie widzą jej, gdyż śpią w pozamykanych domach. Gwiazda zaś wzmaga swe pulsowanie światłem również przez swój ogon, który drży i faluje mocniej, znacząc niemal półkola na niebie. Całe niebo goreje od mnóstwa iskier, które za sobą ciągnie, jakby w sieci pełnej klejnotów. Błyszczą one, malując najrozmaitszymi kolorami inne gwiazdy, jakby dla przekazania im radosnej wieści.

Mały domek cały jest skąpany w tym płynnym ogniu klejnotów. Dach niewielkiego tarasu, stopnie z ciemnego kamienia, małe drzwi, wszystko jest jakby blokiem czystego srebra, pokrytym diamentowym pyłem i perłami. Żaden królewski pałac na ziemi nie miał i nie będzie miał nigdy schodów takich jak te, po których stąpali aniołowie i których





używała ta Matka, która jest Matką Boga. Drobne stopy Niepokalanej Dziewicy mogą spoczywać na tej pięknej bieli – te Jej małe stopy, które są przeznaczone do wstępowania po stopniach Bożego tronu. Dziewica jednak nic o tym nie wie. Czuwa nad kołyską Syna i modli się. W Jej duszy jest większy blask niż ten, którym gwiazda ozdabia przedmioty.

Główną drogą zbliża się orszak: konie w uprzęży, inne – prowadzone za uzdę. Dromadery i konie z jeźdźcami bądź z ładunkiem. Tętent kopyt to jakby odgłos wody spadającej na kamienie potoku. Po dotarciu do placu, wszyscy zatrzymują się. W promiennym świetle gwiazdy orszak nabiera nadzwyczajnego piękna. Przebogie ozdoby wierzchowców, ubiory jeźdźców, twarze, wyposażenie, wszystko to jaśnieje nadzwyczajnie. Blaskiem ożywia się też metal, skóra, jedwab, klejnoty i sierść. Świecą się oczy, śmieją usta, bo jeszcze inne piękno wstąpiło w serca: piękno nadprzyrodzonej radości.

Podczas gdy słudzy ze zwierzętami udają się do miejsca postoju karawan, trzy dostojne osoby zsiadają z wierzchowców, które sługa zaraz odprowadza gdzie indziej. Oni zaś podchodzą pieszo do domu. Tam klękają, uderzają czołem o ziemię i całują proch. To trzej możni. Świadczą o tym ich przebogie stroje. Jeden, o bardzo ciemnej skórze, gdy tylko zsiadł z wielbłąda, owija się cały błyszczącym szalem z jasnego jedwabiu. Czoło i talię ściskają mu kosztowne obręcze. U boku ma sztylet lub miecz z gardą bogato zdobioną drogimi kamieniami. Drugi z tych, którzy zsiadli ze wspaniałych rumaków, ubrany jest w przepiękny prążkowany strój, w którym przeważa barwa żółta. Jego szata uszyta jest jak długie domino, przystrojone kapturem i sznurem, utkany złotym haftem, wyglądającym jak misterna praca złotnika. Trzeci nosi jedwabną bufiastą koszulę oraz długie i szerokie, zmarszczone przy stopach spodnie. Owija się bardzo delikatną





chustą, która wygląda jak kwitnący ogród, tak żywe są zdobiące ją kwiaty. Na głowie ma turban, przytrzymany łańcuszkiem ozdobionym diamentami.

Po uczczeniu domu, w którym przebywa Zbawiciel, wstają i idą do zajazdu dla karawan. Tam słudzy już kołatali i otwarto im.

Tu widzenie urywa się. W trzy godziny później rozpoczyna się scena hołdu składanego Jezusowi przez Magów.

Teraz jest dzień. Słońce świeci pięknie na popołudniowym niebie. Jeden ze sług trzech Magów przechodzi przez plac i wchodzi na schody małego domku. Wchodzi, potem wychodzi.

Wraca do gospody. Wychodzą trzej Mędrcy, a za każdym z nich kroczy jego sługa. Przechodzą przez plac. Nieliczni przechodnie oglądają się, żeby spojrzeć na pełne dostojęstwa osobistości, kroczące wolno i uroczyście. Pomiedzy przybyciem sługi a nadejściem tych trzech mija dobry kwadrans, co dało mieszkańcom domu możność przygotowania się na przybycie gości.

Przybysze są dziś jeszcze bardziej bogato odziani niż wczorajszego wieczora. Błyszczą jedwabie, połyskują klejnoty, a na głowie tego, który nosi turban, skrzy się i migoce olbrzymi pióropusz, składający się z drogocennych piór, usianych jeszcze cenniejszymi łuskami.

Jeden ze sług niesie całkowicie pokrytą intarsją szkatułę, której metalowe wzmocnienia są wykonane ze złota. Drugi ma ze sobą misternej roboty kielich, zakryty rzeźbionym wieczkiem, cały ze złota. Trzeci niesie rodzaj szerokiej i niskiej amfory, także ze złota, zakorkowanej zamknięciem w kształcie piramidki, z osadzonym na wierzchołku brylantem. Przedmioty te zdają się ciężkie, słudzy bowiem niosą je z wysiłkiem, zwłaszcza – szkatułę.

Wszyscy trzej idą po schodach. Wchodzą do izby prowadzącej od drogi na tyły domu. Przez okno otwartą na słońce widać ogródek. W bocznych





ścianach znajdują się drzwi, przez które zagłądardzina gospodarzy: mężczyzna, niewiasta i troje lub czworo dzieci w różnym wieku.

Maryja siedzi z Dzieciątkiem na kolanach, a Józef stoi z boku. Na widok wchodzących trzech Magów Maryja wstaje i kłania się. Ubrana jest całkiem na biało. Jakaż jest śliczna w skromnej sukni, zakrywającej Ją od szyi do stóp, od ramion do delikatnych nadgarstków. Jakże piękną ma głowę otoczoną koroną jasnych warkoczy, z mocniej zarumienioną ze wzruszenia twarzą. Oczy uśmiechają się ze słodyczą, usta zaś wypowiadają słowa pozdrowienia:

«Niech Bóg będzie z wami.»

Trzej zatrzymują się na chwilę, zaskoczeni. Potem podchodzą i upadają do stóp Maryi.

Proszą, żeby usiadła. Sami nie chcą usiąść, chociaż Maryja o to prosi. Pozostają na kolanach, opuszczając się na pięty. Za nimi klęczą także trzej słudzy, którzy znajdują się tuż za progiem. Postawili przed sobą trzy przyniesione przedmioty i czekają.

Trzej Mędrcy wpatrują się w Dzieciątko, które wydaje się mieć dziewięć miesięcy, może rok, takie jest silne i mocne. Siedzi teraz na kolanach Mamy i śmieje się, szczebiocząc jak ptaszek. Ubrane jest na biało, tak samo jak Mama, a na maleńkich stópkach ma sandały. Szatka jest bardzo prosta. To koszulka, spod której wystają ruchliwe nóżki i pulchniutkie rączki, które chciałyby wszystkiego dotknąć. Nade wszystko śliczna jest Jego twarzyczka. Błyszczą ciemnoszafirowe oczy i śmieją się usteczka z dołeczkami, odstawiając pierwsze, małe ząbki. Loczki zdają się złotym pyłem, tak są błyszczące i puszyste.

Najstarszy z Mędrców odzywa się w imieniu wszystkich. Tłumaczy Maryi, jak to pewnej grudniowej nocy minionego roku zapłonęła na niebie nowa gwiazda o wyjątkowym blasku. Żadne mapy nieba nie pokazywały takiej gwiazdy ani nic o niej nie wspominały. Imię jej było nieznane, nie miała





bowiem nazwy. Narodziła się więc z łona Boga i rozkwitła, ażeby oznajmić ludziom błogostawioną prawdę – Boży sekret. Ludzie jednak nie zwrócili na nią uwagi, gdyż w ich duszach było zepsucie. Nie wznosili oczu ku Bogu i nie umieli czytać słów, które On – niech będzie błogostawiony na wieki – kreśli ognistymi gwiazdami na sklepieniu nieba.

Oni jednak ujrzeni ją i starali się pojąć jej wymowę. Wyrzekając się dobrowolnie odrobiny snu koniecznego dla ciała, zapominając o jedzeniu, zagłębiali się w badaniach Zodiaku. Układy gwiazdne, czas, pora roku, dawne obliczenia i astronomiczne kombinacje pozwoliły im znaleźć imię i ujawnić tajemnicę tej gwiazdy. Jej imię: "Mesjasz". Jej sekret: "Żyje Mesjasz, który przyszedł na świat". Wyruszyli więc w drogę, aby Go uczcić. Nic nie wiedzieli o sobie nawzajem. Podróżując nocą przez góry i pustynie, doliny i rzeki, dążyli ku Palestynie, bo gwiazda posuwała się w tym kierunku. Dla każdego z nich, wyruszającego z trzech odrębnych punktów ziemi, w taki sam sposób przesuwawała się. Spotkali się nad Morzem Martwym. Wola Boża tam ich połączyła. Wyruszyli więc razem dalej, rozumiejąc się nawzajem, chociaż każdy z nich mówił swoim odmiennym językiem. Nie tylko mogli się nawzajem zrozumieć, lecz także – dzięki cudowi Wiecznego – mogli w tym kraju mówić jego językiem.

Doszli razem do Jerozolimy. Wiedzieli bowiem, że Mesjasz miał być Królem Jerozolimy, Królem Żydów. Gwiazda jednak ukryła się na niebie ponad tym miastem. Oni więc, ze złamanymi bólem sercami, zaczęli badać siebie, żeby pojąć, w czym mogli Bogu uchybić. Uspokoiwszy się jednak w swoich sumieniach, zwrócili się do króla Heroda z zapytaniem, w jakim pałacu narodził się Król Żydów, któremu właśnie przybyli się pokłonić.

Król Herod zwołał więc przedniejszych kapłanów i uczonych w Piśmie i zapytał ich o to, gdzie mógł narodzić się Mesjasz. Oni zaś odpowiedzieli: "W Be-





tlejem judzkim".

Udali się więc w kierunku Betlejem, a gdy tylko opuścili Święte Miasto, gwiazda znowu ukazała się ich oczom. Poprzedniego wieczora wzmogła blask i całe niebo zapłonęło. Kiedy zaś zatrzymała się nad tym domem, połączyła w swoim płomieniu całe światło pozostałych gwiazd. Zrozumieli więc, że znajdują się tu, gdzie jest Boski Syn. Oddają Mu teraz chwałę i przynoszą skromne dary. Przede wszystkim zaś ofiarowują serca, które nigdy nie ustały w błogostawieniu Boga za otrzymaną łaskę i miłują Jego Syna, którego Święte Człowieczeństwo oglądali. Potem mają powrócić, żeby zdać sprawę królowi Herodowi. On bowiem także pragnie się Jemu pokłonić.

«A oto tutaj jest złoto należne królowi; oto kadzidło, jakie należy się Bogu; a tu, o Matko, tutaj jest mirra. Twój Syn bowiem jest Człowiekiem, a nie tylko Bogiem. Pozna więc gorycz ciała i ludzkiego życia oraz nieuniknione prawo śmierci. Przez wzgląd na naszą miłość wolałbym tych słów nie wypowiadać. Wolałbym sądzić, że także w ciele jest wieczny, jak wieczny jest Jego Duch. Jednak, o Niewiasto – jeżeli nasze pisma, a zwłaszcza jeżeli nasze dusze się nie mylą – to On, Twój Syn, jest Zbawicielem, Bożym Chrystusem. Dlatego właśnie będzie musiał – dla zbawienia świata – przyjąć na Siebie zło tego świata... A jedną z kar za nie jest śmierć. Żywica ta przeznaczona jest właśnie na tę godzinę, aby Jego święte ciało nie zaznało zgnilizny rozkładu i zachowało doskonałość aż do zmartwychwstania. Niech przez wzgląd na ten dar pamięta o nas i niech zbawi Swoje sługi, dając im Swe Królestwo. Ty, Matko, powiedz Swemu Dziecku o naszej miłości, abyśmy zostali uświęceni. Obyśmy, całując Jego stopy, sprowadzili na siebie niebiańskie błogostawieństwo.»

Maryja – przezwyciężając przerażenie spowodowane słowami Mędrca, pokrywając uśmiechem





smutek powstały na myśl o pogrzebie – podaje Dziecię. Kładzie Je w ramiona najstarszemu, który Je całuje. Jezus go głaszcze. Potem podaje Dziecię innym. Jezus z uśmiechem bawi się łańcuszkami i frędzlami. Przygląda się z zaciekawieniem otwartej szkatule, pełnej czegoś żółtego i błyszczącego. Śmieje się widząc, jak słońce tworzy tęczę, padając na brylant pokrywy naczynia z mirrą.

Później Mędrcy oddają Dziecię Matce i powstają. Maryja też wstaje. Najmłodszy nakazuje sługom wyjść i wszyscy kłaniają się po kolei. Trzej Magowie rozmawiają jeszcze przez chwilę. Nie potrafią opuścić tego domu. W oczach mają łzy wzruszenia. Zbliżają się w końcu do wyjścia, odprowadzani przez Maryję i Józefa, Dziecko chciało zejść na ziemię i podaje małą dłoń najstarszemu z trzech. Idzie, trzymane za rękę przez Maryję i jednego Mędrcę, pochylonego, żeby Go podtrzymywać. Jezus stawia niepewne dziecięce kroczyki. Śmieje się, dotykając nóżką smugi, rzucanej na posadzkę przez słońce.

Dochodząc do progu – trzeba pamiętać, że izba ciągnie się przez całą długość domu – trzej żegnają się, klękając raz jeszcze, żeby ucałować stopy Jezusa. Maryja, pochylona nad Dzieciątkiem, ujmuje Jego rączkę i prowadzi ją, czyniąc znak błogostawieństwa nad głową każdego Maga. Jest to już znak krzyża, który kreślą prowadzone przez Maryję paluszki Jezusa.

Trzej schodzą potem ze schodów. Na placu czeka karawana, gotowa do wymarszu. W zachodzącym słońcu lśnią ozdobne guzy przy wędzidłach koni. Na placyku tłoczą się ludzie, żeby zobaczyć niezwykle widowisko.

Jezus śmieje się, klaszcząc w rączki. Mama podniosła Go i oparła o szeroki parapet, ograniczający podest schodów. Obejmuje Jezusa ramieniem na wysokości Jego piersi, żeby nie spadł. Józef schodzi wraz z trzema, a gdy wsiadają na konie i wiel-





błąda, przytrzymuje każdemu strzemień.

Teraz słudzy i panowie są już w siodłach. Dają hasło do wymarszu. Trzej Mędrcy chylą się w ostatnim ukłonie aż do karków wierzchowców. Józef kłania się, Maryja także i ponownie prowadzi rączkę Jezusa w geście pożegnania i błogosławieństwa.

▲ do góry

## 57. Uwagi na temat wiary Magów

(por. Mt 2,1-12)

Napisane tego samego dnia. A, 2109-2124

Mówi Jezus:

«A teraz? Co mam wam teraz powiedzieć, o du-sze, które czujecie, że umiera wiara?

Ci Mędrcy ze Wschodu nie posiadali niczego, co mogłoby ich umocnić w prawdzie. Niczego nad-przyrodzonego... Tylko obliczenia astronomiczne oraz swoje przemyślenia, które stały się doskonałe dzięki nieskazitelności ich życia.

A jednak wierzyli. Wierzyli wszystkiemu: wierzyli nauce, wierzyli sumieniu, wierzyli dobroci Bożej. Dzięki wiedzy zawierzyli też znakowi gwiazdy – tej nowej, która mogła być tylko "tą" oczekiwaną od wieków przez ludzkość: Mesjaszem. Poprzez su-mienie mogli usłyszeć i uwierzyć wewnętrznemu głosowi, który – jako niebiański "głos" – pouczał ich: "To jest gwiazda zwiastująca przyjście Mesja-sza." Wierząc dobroci ufali, że Bóg ich nie zdradzi. Ponieważ ich intencja była prawa, dlatego sądzą, że Bóg na różne sposoby będzie im pomagał do-trzeć do celu.

I udało im się. Tylko oni, spośród bardzo wielu badających znaki, zrozumieli ten znak. Jedynie oni bowiem mieli w duszy dręczące pragnienie pozna-nia słów Bożych i szlachetny zamiar natychmiasto-wego oddania samemu Bogu czci i chwały.

Nie szukają własnej korzyści. Wprost przeciwnie. Idą na spotkanie, narażając się na zmęczenie i wy-





datki. Nie proszą w zamian za to o nic, co ludzkie. Proszą tylko, żeby Bóg pamiętał o nich i zapewnił im wieczne zbawienie. Ponieważ nie szukali żadnej przyszłej ludzkiej zapłaty, dlatego – udając się w podróż – nie mieli żadnych ludzkich oczekiwań. Wy poddalibyście się tysiącom obaw: "Jak odbędę podobną podróż, w obcym kraju i pośród ludzi mówiących innym językiem? Czy mi uwierzą? A może wtrącą mnie do więzienia jako szpiega? Jakiej pomocy mi udziela w przejściu przez pustynie, rzeki i góry? A upał? A wiatry na płaskowyżach? A stałe gorączki pojawiające się w strefach bagiennych? A wezbrane deszczem rzeki? A odmienne pożywienie? A obcy język? A... a... a..." Tak wy rozumujecie. Oni tak nie myśleli. Powiedzieli ze szczerą i świętą śmiałością: "Ty, o Boże, czytasz w naszych sercach i widzisz, do jakiego celu dążymy. Oddajemy się ufnie w Twe ręce. Daj nam nadludzką radość adorowania Twojej Drugiej Osoby, która stała się Ciałem dla zbawienia świata".

Tylko tyle. I wyruszają w drogę z odległych Indii, z mongolskich pasm górskich, nad którymi szybują tylko orły i sępy, a Bóg przemawia przez szum wiatrów i szmer potoków, wypisując tajemnicze słowa na bezkresnych stronicach pokrytych śniegiem. Jeden wyrusza z ziem, z których wytryska Nil i płynnie żyłą zielonego lazuru do błękitnego serca Morza Śródziemnego. I ani góry, ani lasy, ani piaski wyschniętych oceanów i bardziej niebezpieczne od nich wody mórz nie powstrzymują ich marszu. Gwiazda jaśnieje nad nimi nocami, nie pozwalając im zasnąć. Gdy bowiem szuka się Boga, wtedy zwierzęce nawyki ciała muszą ustąpić przed niecierpliwością serca i nadludzkimi potrzebami.

Gwiazda prowadzi ich z północy, ze wschodu i z południa i – dzięki cudowi Bożemu – idzie przed wszystkimi trzema do jednego punktu. W nim, po przebyciu tak wielu mil, gromadzi ich dzięki drugiemu cudowi. Dzięki nowemu cudowi udziela im, wy-





przedzając mądrość Pięćdziesiątnicy, daru wzajemnego rozumienia się, tak jak jest w Raju, gdzie mówi się jednym językiem – Bożym.

Tylko w jednej chwili ogarnia ich przerażenie: kiedy gwiazda znika. A wtedy oni, pokorni – bo są naprawdę wielcy – nie myślą, że mogło tak się stać z powodu zła kogoś innego, że to zepsuci ludzie z Jerozolimy nie zasługują na ujrzenie gwiazdy Bożej. Myśleli, że to oni sami przestali zasługiwać na Boga. Badali siebie z przerażeniem, już gotowi do okazania żalu i do proszenia o przebaczenie.

Umacnia ich jednak własne sumienie. Dusze przyzwyczajone do rozważania mają sumienie nadzwyczaj wrażliwe, wyostrzone przez stałe trzymanie się na baczności, przez wnikliwy wgląd w siebie. I to właśnie uczyniło wewnątrz mędrców zwierciadłem odbijającym najmniejsze cienie codziennych wydarzeń. Uczynili sumienie swoim nauczycielem, głosem, który ostrzega i krzyczy na najmniejszy... nie powiem: błąd, lecz na to co ma pozór błędu, na to, co tylko ludzkie, na zadowolenie swego "ja". Dlatego, kiedy stają naprzeciw tego nauczyciela – tego zwierciadła surowego i czystego – wiedzą, że ono nie będzie kłamać. Teraz sumienie ich uspokaja, więc odzyskują siły.

"O, miła to rzecz odczuwać, że nic w nas nie jest przeciwne Bogu! Mieć przekonanie, że On patrzy z upodobaniem na duszę wiernego dziecka i mu błogostawi. Dzięki temu odczuciu zwiększa się wiara i zaufanie, nadzieja i siły, i cierpliwość. Teraz jest czas burzy, ale minie, gdyż Bóg mnie kocha. On wie, że i ja Go kocham. Bóg nie przestanie mi nadal pomagać." Tak mówią ci, którzy odczuwają pokój pochodzący z prawego sumienia, będącego królem każdego ich czynu.

Powiedziałem, że byli "pokorni, gdyż byli naprawdę wielcy". A co dzieje się w waszym życiu? Nigdy nie jest pokorny ten, kto czyni się potężnym przez swój despotyzm i przez wasze głupie bałwochwal-





stwo, z którym się spotyka nie dlatego, że jest wielki, ale z powodu swego despotyzmu.

Istnieją nieszczęśnicy, którzy – będąc jedynie zarządcami u jakiegoś władcy, odźwiernymi w jakimś urzędzie, urzędnikami, krótko mówiąc: sługami tego, który ich nimi uczynił – przyjmują pozy półbogów. Jakąż budzą litość!

Trzej Mędrcy byli naprawdę wielcy. Po pierwsze, z powodu cnót nadprzyrodzonych; po drugie, z powodu wiedzy; po trzecie wreszcie, z powodu bogactwa. A jednak czuli się niczym: prochem na prochu ziemi w porównaniu z Bogiem Najwyższym, który Swoim uśmiechem stwarza światy i rozrzuca je jak ziarenka pszenicy, aby widokiem gwiazdnych naszyjników nasycić oczy aniołów.

Czują się niczym w porównaniu z Najwyższym Bogiem, który stworzył planetę, na której żyją, czyniąc ją tak urozmaiconą. On jest Rzeźbiarzem Nieskończonym bezkresnego dzieła. Tu naciśnięciem kciuka umieścił wieniec łagodnych pagórków, tam – kościec szczytów i iglic, podobnych do kręgosłupa tego olbrzymiego ciała, którym jest ziemia. Żyłami tego ciała są rzeki, miednicami – jeziora, sercem – oceany, sukniami – lasy, welonami – chmury, ozdobami – lodowce z kryształu, klejnoty turkusów i szmaragdów, opale i beryle wszystkich wód, które śpiewają, tworząc z borami i wichrami wielki chór na chwałę swego Pana.

Mędrcy czuli, że ich wiedza jest nicością wobec Najwyższego Boga, od którego pochodzi ich mądrość. Wiedzieli, że Bóg dał im oczy potężniejsze od dwóch źrenic, dzięki którym dostrzegają różne rzeczy. Dał im bowiem oczy duszy, potrafiące w rzeczach czytać słowa, które nie są zapisane ręką ludzką, lecz zostały wyryte Bożą myślą.

Czuli, że ich bogactwo to naprawdę nicość, odrobinka wobec bogactw Posiadacza wszechświata. On bowiem rozmieszcza kruszce i szlachetne kamienie na gwiazdach i planetach. On daje też nadprzy-





rodzone bogactwa, wkładając niewyczerpaną ich obfitość w serca tych, którzy Go miłują.

Przybywszy przed ubogi dom w najnędzniejszej miejscinie Judei, nie potrząsnęli głowami, mówiąc: "Niemożliwe", lecz zgięli plecy i kolana, a zwłaszcza serca, i oddali cześć.

Tam, za tymi biednymi murami betlejemskiego domku, jest Bóg. Tego Boga zawsze wzywali, ale nigdy nie ośmielili się spodziewać, że będą Go mogli, choćby niewyraźnie, ujrzeć. Wzywali Go dla dobra całej ludzkości i dla "własnego" dobra wiecznego. O, jedynie tego sobie życzyli: móc Go widzieć, poznać, posiadać w życiu, które nie zna już świtów ani zachodów!

On jest tam, za biedną ścianą tego domu. Kto wie, może Jego dziecięce serce, które jest przecież zawsze sercem Boga, słyszy teraz te trzy serca, które pochylone w prochu drogi brzmią jak dzwony: "Święty, Święty, Święty! Błogosławiony Pan, Bóg nasz! Chwała Mu w Najwyższych Niebiosach i pokój Jego sługom! Chwała, chwała, chwała i błogosławieństwo!" Myślą tak z miłosnym niepokojem i przez całą noc i następny poranek najżarliwszą modlitwą przygotowują ducha na spotkanie z Bogiem-Dzieckiem. Do ołtarza – którym jest dziewicze łono noszące Boską Hostię – nie udają się tak, jak wy to czynicie: z duszą pełną ludzkich usilnych prośb.

Zapominają o śnie i pokarmie. Jeśli ubierają najpiękniejsze szaty, to nie dla ludzkiego przechwalania się, lecz po to, aby oddać cześć Królowi królów. Na dwory królewskie władcy i dostojnicy wchodzą w najpiękniejszych strojach. A do tego Króla nie mieliby wejść w odświętnych szatach? Jakie święto może być dla nich większe od tego? O, w swoich odległych ziemiach wiele razy musieli przyozdabiać się dla ludzi podobnych sobie, aby ich uczcić i przyjąć okazale. Słusznie więc trzeba u stóp Najwyższego Króla unieść purpury i klejnoty, jedwabie i





cenne pióropusze. Pod Jego stopy, pod te słodkie stopy trzeba położyć ziemskie tkaniny, klejnoty ziemi, pióropusze ziemi, metale ziemi. Są przecież Jego dziełami. Niechże więc i te ziemskie rzeczy uczczą swego Stwórcę. Sami Mędrcy byliby szczęśliwi, gdyby Dzieciątko nakazało im położyć się na ziemi, żeby uczynić sobie z nich dywan dla Swoich dziecięcych kroczków. Napełniliby się radością, gdyby kroczył po nich Ten, który porzucił gwiazdy dla nich, będących prochem, prochem, tylko prochem.

Są pokorni i szlachetni, i posłuszni "głosom" z Wysoka. One to nakazywały zanieść dary nowo narodzonemu Królowi. I przynoszą dary. Nie mówią: "On jest bogaty i nie potrzebuje ich. Jest Bogiem i nie zazna śmierci". Są posłuszni. I są jednymi z pierwszych, którzy wspierają Zbawiciela w ubóstwie. Jakże pożyteczne stanie się złoto dla Tego, który jutro będzie uchodźcą! Jakże wiele znaczy mirra dla Tego, który wkrótce zostanie zabity! Jakże szlachetne jest to kadzidło dla Tego, który będzie musiał odczuwać smród ludzkiej rozwiązłości, kłębiący się wokół Jego nieskończonej czystości!

Pokorni, hojni, posłuszni są pełni szacunku dla siebie nawzajem. Cnoty wciąż rodzą następne cnoty. Z cnót zwróconych ku Bogu rodzą się cnoty skierowane ku bliźniemu. Z szacunku rodzi się miłość.

Najstarszy z Mędrców ma mówić w imieniu wszystkich i jako pierwszy ma otrzymać pocałunek Zbawiciela, potrzymać Jego rączkę. Pozostali będą mogli jeszcze Go zobaczyć. Ale on – nie. Jest starcem, zbliża się więc dzień jego powrotu do Boga. Zobaczy Chrystusa po Jego straszliwej śmierci i pójdzie w orszaku zbawionych za Nim, powracającym do Nieba. Ale na tej ziemi już Go nie zobaczy. Jako wsparcie na ostatnią drogę pozostanie mu ciepło małej rączki, która się powierza jego pomarszczonej już dłoni.





Inni wcale mu nie zazdroszczą. Nawet rośnie ich szacunek dla starego Mędrca. Myślą, że z pewnością zasłużył sobie na to bardziej niż oni, że zasługiwał na to od dłuższego czasu. Bóg-Dziecię to wie. Słowo Ojca jeszcze nic nie mówi, ale Jego gest jest Słowem. I niech będzie błogosławione Jego niewinne słowo wyrażone gestem, wskazującym tego starszego Mędrca jako umiowanego.

Ale, o dzieci, są jeszcze dwa inne pouczenia wynikające z tej wizji. To postawa Józefa, który umie pozostawać na "swoim" miejscu. Obecny jest jako stróż oraz jako opiekun Czystości i Świętości. Nie przywłaszcza sobie jednak przysługujących im praw. To Maryja ze Swoim Jezusem przyjmuje hołd i słowa. Józef cieszy się z tego ze względu na Nią i nie martwi się, że sam stoi na uboczu. Józef jest sprawiedliwym człowiekiem, jest Sprawiedliwym. I zawsze kieruje się tym, co słuszne. Także w tej chwili. Opary pychy w tej uroczystej chwili nie uderzają mu do głowy. Pozostaje pokorny i sprawiedliwy.

Jest szczęśliwy z otrzymania darów. Nie myśli jednak o sobie. Cieszy się, że dzięki nim będzie mógł uczynić bardziej wygodnym życie Małżonki i słodkiego Dziecka. Nie ma zazdrości w Józefie. Jest rzemieślnikiem, który nadal będzie pracować, ale niech "Oni" – jego dwie miłości – mają wygodę i wsparcie. Ani on, ani Mędracy nie wiedzą jeszcze, że te dary będą użyteczne w czasie ucieczki i w życiu na wygnaniu. Zasoby te rozproszą się jednak jak obłoki gnane wichrami. Po powrocie do ojczyzny i po utracie wszystkiego, klientów i wyposażenia, zachowają się tylko ściany domu, strzeżonego przez Boga, gdyż tam On stał się Ciałem, zjednoczony z Dziewicą.

Józef, stróż Boga i Matki Boga – Oblubienicy Najwyższego, jest pokorny do tego stopnia, że podtrzymuje strzemień tym sługom Bożym. Jest biednym cieślą, gdyż ludzka brutalność pozbawiła dzie-





dziców Dawida ich królewskich dóbr. Zawsze jednak jest potomkiem królewskim i ma rysy królewskie. Także o nim powiedziano: "Był pokorny, gdyż był naprawdę wielki."

I jeszcze ostatnie słodkie pouczenie. Maryja bierze rękę Jezusa, która nie potrafi jeszcze błogosławić, i wodzi ją w świętym geście. To cały czas Maryja chwyta rękę Jezusa i nią kieruje. Także obecnie. Teraz Jezus potrafi błogosławić. Wiele razy jednak Jego zraniona ręka opada zmęczona i zniechęcona, bo wie, że błogosławieństwo jest bezowocne. Wy niszczyście Moje błogosławieństwo. Opada Moja wzgardzona ręka, bo Mnie przeklinacie. Wtedy Maryja odejmuje pogardę tej ręce, całując ją. O, pocałunek Mojej Matki! Któż mógłby się oprzeć temu pocałunkowi? A następnie Swoimi delikatnymi, ale bardzo nalegającymi palcami ujmuje z miłością przegub Mojej dłoni i przymusza Mnie do błogosławienia. Nie mogę odepchnąć Mojej Matki. Trzeba więc uciekać się do Niej, aby stała się waszą Orędowniczką.

Ona jest Moją Królową, a nie tylko waszą. Jej miłość do was ma dla was taką pobłażliwość, jakiej nie zna nawet Moja miłość. Maryja – nawet bez słów, ale Swoim płaczem i wspomnieniem Mojego Krzyża, którego znak każe Mi kreślić w powietrzu – staje w waszej obronie i upomina Mnie: "Bądź Zbawicielem. Zbawiaj".

Oto, dzieci, "Ewangelia wiary" w wizji pokłonu Mędrców. Rozważajcie i naśladowajcie. Dla waszego dobra.»

Piątek, 3 marca 1944.

Mówi Jezus:

«Napisz jeszcze tylko to. Kilka dni temu powiedziałeś, że umierasz z gorącego pragnienia ujrzenia Miejsc Świętych. Tymczasem widzisz je takie, jakie były, kiedy Ja uświęcałem je Moją obecnością. Teraz – po dwudziestu wiekach znieważania spo-





wodowanego nienawiścią lub źle pojmowaną miłością – nie są już takie, jakie były. Pomyśl więc, że ty je widzisz, a ten, kto udaje się do Ziemi Świętej, nie widzi ich. I nie martw się tym.

Druga sprawa. Skarżysz się, że nawet książki, które mówią o Mnie, nie wydają ci się już ciekawe, chociaż wcześniej tak bardzo je lubiłaś. To jest spowodowane twoją obecną sytuacją. Jakże mogą ci się wydawać doskonałe dzieła ludzkie, skoro dzięki Mojemu dziełu znasz prawdę o wydarzeniach z Mojego życia? Coś takiego dzieje się z przekładami, nawet dobrymi: zawsze kaleczą trafność oryginalnego zwrotu. Ludzkie opisy miejsc, wydarzeń lub uczuć są tylko "tłumaczeniami". Z tego powodu są one zawsze niepełne, niedokładne. A nawet jeśli wiernie przedstawiają słowa i wydarzenia, nie ukazują w pełni przeżyć. Dzieje się tak szczególnie teraz, kiedy racjonalizm wszystko bardzo wyjąłowił. Dlatego też dla kogoś, kogo Ja unoszę, żeby widział i poznawał, każdy inny opis dokonany bez podobnego Mojego uniesienia będzie chłodny, pozostawi niedosyt i niezadowolenie.

Po trzecie: jest piątek. Pragnę więc, abys ponownie przeżywała Moje cierpienie. Chcę tego dzisiaj, byś je przeżyła ponownie w myślach i w swoim ciele. To tyle. Znoś cierpienia w pokoju i z miłością. Błogosławię cię.»

▲ do góry

## 58. Ucieczka do Egiptu

Napisane 9 czerwca 1944, A 2803-2817

(por. Mt 2,13-15)

Widzę wewnętrznie następującą scenę:  
Jest noc. Józef śpi na pościeli w swej małej izbie. To spokojny sen tego, który wypoczywa po pracy ciężkiej, uczciwej i dobrze wykonanej.

Widzę go w panującej w pomieszczeniu ciemności, rozpraszaną zaledwie przez smużkę księżycy-





wego światła. Przedostaje się ona przez szparę w okiennicy przymkniętej, ale nie całkiem domkniętej. Być może Józefowi było za gorąco w małej izbie. A może chciał mieć odrobinę światła, żeby zobaczyć, czy już świta, i wstać jak najszybciej. Odwrócił głowę i uśmiecha się przez sen, być może do jakiejś sennej wizji. Nagle uśmiech zmienia się w wyraz trwogi.

Józef wzdycha głęboko jak ktoś przygnieciony koszmarem i budzi się. Siada na łożku, przeciera oczy i rozgląda się wokół siebie. Patrzy w stronę okienka, przez które wchodzi smuga światła. Choć noc jest głęboka, chwyta rozłożoną u stóp pościłania szatę i – wciąż siedząc na łożku – wkłada ją na białą koszulę z krótkimi rękawami, którą ma na sobie. Odgarnia przykrycia, zsuwa stopy na podłogę i szuka sandałów. Zakłada je i zawiązuje. Wstaje i podchodzi do drzwi, które znajdują się naprzeciw jego pościłania, a nie do tych z boku, które prowadzą do długiej izby, w której przyjęto Magów. Końcami palców cicho puka. To delikatne: puk, puk...

Musiał usłyszeć zaproszenie do wejścia, bo ostrożnie otwiera drzwi i potem cicho je zamyka. Zanim jeszcze podszedł do drzwi, zapalił małą lampę oliwną o jednym płomieniu i nią oświetla pokój. Wchodzi. Izba jest niewiele większa niż jego własna. Znajduje się tam niskie łożeczko, które stoi przy kołysce. W narożniku pali się kaganek. Jego drżący płomyk zdaje się gwiazdką o nikłym, złotawym blasku. Pozwala on widzieć, a równocześnie nie przeszkadza śpiącemu.

Maryja jednak nie śpi. Kłęczy przy kołysce w jasnej sukni i modli się, czuwając nad spokojnie śpiącym Dzieckiem.

Jezus jest w tym samym wieku jak wtedy, gdy widziałam Go z Magami. Jest to śliczne, złotowłose i rumiane, niemal roczne Dziecko. Śpi z zagłębioną w poduszcze kędzierzawą główką, trzymając pod brodą zaciśniętą w pięść rączkę.





«Nie śpisz? – pyta cicho zdziwiony Józef. – Dlaczego? Czy Jezus źle się czuje?»

«O, nie! Czuję się dobrze. Modłę się. Na pewno później się wyśpię. Dlaczego przyszedłeś, Józefie?»

– Maryja mówi to ciągle klęcząc.

Józef odpowiada jak najciszej, żeby nie zbudzić Dziecka. Jest jednak wzburzony. Mówi:

«Musimy stąd wyjechać jak najprędzej. Natychmiast. Przygotuj kufer i torbę ze wszystkim, co uda Ci się zabrać ze sobą. Ja przygotuję resztę... Zabierzemy ze sobą wszystko, co możliwe. Uciekamy o świcie. Zrobiłbym to wcześniej, ale muszę porozmawiać z właścicielką domu...»

«Ale dlaczego mamy uciekać?»

«Później Ci to dokładnie wyjaśnię. Z powodu Jezusa. Anioł powiedział mi: "Weź Chłopca i Matkę i uciekaj do Egiptu". Nie trać czasu. Idę przygotować, co będę mógł.»

Maryi nie trzeba mówić, że nie ma tracić czasu. Jak tylko słyszy o aniele, o Jezusie i o ucieczce, domyśla się, że Jej Dziecku grozi jakieś niebezpieczeństwo. Zrywa się na równe nogi z bledszą niż воск twarzą i, udręczona, przyciska dłoń do serca. Zaczyna zaraz się krzątać. Szybko i zręcznie umieszcza odzież w kufrze i w dużym worku, który rozkłada na Swoim jeszcze nietkniętym łóżku. Jest udręczona, panuje jednak nad Sobą. Robi wszystko w pośpiechu, ale dokładnie. Co pewien czas, przechodząc koło kołyski, spogląda na śpiące, nieświadome niczego Dziecię.

«Potrzebujesz pomocy?» – pyta raz po raz Józef, zaglądając do środka przez uchylone drzwi.

«Nie, dziękuję» – odpowiada Maryja. Dopiero gdy worek jest już napełniony i z pewnością jest ciężki, woła Józefa, by pomógł Jej go zawiązać i zdjąć z łóżka. Józef nie chce, żeby Maryja mu pomagała. Sam bierze długi pakunek i zanosi go do swej izdebki.

«Mam zabrać też wełniane przykrycia?» – pyta





Maryja.

«Bierz wszystko, co tylko potrafisz. Resztę stracimy. Zabierz, ile zdołasz... Przyda się, bo... bo będziemy długo w drodze, Maryjo!»

Józef mówi to z wielkim smutkiem. Można sobie wyobrazić, co przeżywa Maryja.

Wzdychając, składa przykrycie zdjęte z łóżka Józefa i z łóżka Swojego. Zawiazuje je sznurem.

«Musimy zostawić kołdry i maty – mówi Józef, zwijając przykrycia. – Nawet jeśli weźmiemy trzy osły, to nie będę mógł ich zbyt ciężko przeciążać. Musimy odbyć długą i męczącą drogę, częściowo przez góry, a po części przez pustynię. Okryj dobrze Jezusa. Zarówno w górach jak i na pustyni noce będą chłodne. Zabrałem dary Magów, bo się tam przydadzą. Wszystko, co mam, wydam na zakup dwóch osiołków. Nie będziemy przecież mogli odesłać ich z powrotem, więc muszę je kupić. Idę. Nie czekam świtu. Wiem, gdzie ich szukać. Ty kończ przygotowywanie wszystkiego.»

Wychodzi. Maryja bierze jeszcze kilka przedmiotów. Następnie patrzy na Jezusa i też wychodzi. Powraca z jeszcze nieco wilgotnymi szatkami, zapewne wypranymi poprzedniego dnia. Składa je, zawija w płótno i dołącza do pozostałych rzeczy. Nie ma już niczego więcej. Rozgląda się dookoła i widzi w kącie zabawkę Jezusa: owieczkę wyrzeźbioną z drewna. Podnosi ją z łkaniem i całuje. Całe bowiem drewno nosi ślady zębów Jezusa, a uszy owieczki są zupełnie obgryzione. Maryja głaszcze ten bezwartościowy dla innych przedmiot ze zwykłego jasnego drewna. Dla Niej jest on bardzo cenny, bo świadczy o miłości Józefa do Jezusa i przypomina Jej Dziecko. Kładzie więc także zabawkę przy innych leżących na zamkniętej skrzyni rzeczach. Teraz nie ma już zupełnie nic.

Jest tylko Jezus w kołysce. Maryja sądzi, że dobrze będzie przygotować też Dziecko. Zbliża się więc do kołyski i porusza nią lekko, żeby obudzić





Małego. On jednak wydaje ciche westchnienie, odwraca się i śpi dalej. Maryja głaszcze delikatnie Jego loczki. Jezus otwiera buzię i ziewa. Maryja schyla się i całuje Go w policzek. Jezus w końcu się budzi. Otwiera oczy. Widzi Mamę i uśmiecha się, wyciągając rączki do Jej piersi.

«Tak, Moja Ty miłości, tak, mleka. Przed zwykłą porą. Zawsze jesteś gotów ssać Mamę, Moje święte Jagniątko!»

Jezus śmieje się i baraszkuje. Przebiera nóżkami na przykryciach i macha radośnie rączkami z właściwą dzieciom, tak miłą dla oka wesołością. Potem opiera nóżki o żołądek Mamy, wygina się łukiem i kładzie złotą główkę na Jej piersi. Następnie z uśmiechem rzuca się w tył. Chwyta rączkami tasiemki, ściągające pod szyją suknię Maryi, i usiłuje je rozwiązać. W lnianej koszulce wygląda prześlicznie: pulchny i różowy jak kwiatek.

Maryja pochyla się i pozostaje w tej postawie, jakby ochrona przy kołysce. Płacze i uśmiecha się równocześnie. Dziecko tymczasem szczebioce i wypowiada jakieś słowa, które stanowią część języka wszystkich dzieci. Najczęściej powtarzanym jest słowo: "mama". Jezus patrzy na Maryję zdziwiony, widzi bowiem, że płacze. Wyciąga rączkę w kierunku błyszczących śladów łez i moczy ją sobie, głaszcząc Mamę. Opiera ponownie z wdziękiem główkę o matczyną pierś, garnie się do Niej, głaszcząc rączką.

Maryja całuje włosy Jezusa, bierze Go na ręce, siada i ubiera. Zakłada wełniane ubranko, a teraz – maleńkie sandały. Potem karmi. Spragniony Jezus ssie dobre mleko Swej Mamy. Kiedy Mu się wydaje, że z prawej strony jest za mało, szuka z lewej. Czyniąc to, śmieje się i patrzy z dołu na Mamę. Potem usypia, oparłszy główkę na Jej piersi: krągły i rumiany policzek przy białej i krągłej piersi.

Maryja wstaje bardzo ostrożnie i kładzie Go na łóżku, na kołdrze, i przykrywa Swym płaszczem.





Wraca do kołyski i składa maleńkie przykrycia. Zastanawia się, czy nie wziąć także materacyka. Jest taki maleńki! Można go także zabrać. Kładzie go razem z poduszczką, obok innych przygotowanych już na kufrze rzeczy. Biedna Mama, prześladowana z powodu Swojego Dziecka, płacze nad pustą kołyską. Powraca Józef i pyta:

«Jesteś gotowa? A Jezus jest gotowy? Wzięłaś Jego pościel i pośłanko? Nie możemy zabrać kołyski, ale niech biedne Maleństwo, które usiłują zabić, ma przynajmniej materacyk.»

«Józefie!» – wykrzykuje Maryja, schwyciwszy go za ramię.

«Tak, Maryjo, zabić. Herod pragnie Jego śmierci... bo drży o swe ludzkie królestwo. To nieczyste zwierzę boi się Niewinnego. Co robi – kiedy się dowie, że uciekł – tego nie wiem. Będziemy już daleko. Nie przypuszczam, żeby się mścił, szukając Go aż w Galilei... Chyba nie domyśla się, że jesteśmy Galilejczykami... z Nazaretu... nie może wiedzieć, kim właściwie jesteśmy... Chyba że szatan udzieli mu pomocy w podzięce za to, że jest jego oddanym sługą. Ale... jeżeli... to się wydarzy... sam Bóg nam pomoże. Nie płacz, Maryjo! Patrzenie na Twoje łzy jest dla mnie większym cierpieniem niż konieczność udania się na wygnanie!»

«Wybacz Mi, Józefie! Nie płaczę ze względu na Siebie ani z powodu tych niewielkich, traconych dóbr. Płaczę z twego powodu... Musiałeś tak bardzo się dla Nas poświęcać! A teraz znowu nie będziesz miał ani klientów, ani domu. Ile ciebie kosztuję, Józefie!»

«Ile? Nic, Maryjo. Wcale nie jesteś powodem moich cierpień. Pocieszasz mnie. Zawsze. Nie myśl o jutrze. Mamy dary otrzymane od Magów. Pomogą nam w pierwszym okresie. Potem znajdę pracę. Uczciwy i dobry rzemieślnik zawsze sobie poradzi. Widziałaś to i tutaj. Nie starczało mi czasu na zrobienie wszystkiego.»





«Wiem. Ale kto cię ukoji w tęsknocie?»

«A Tobie kto przyniesie ulgę w tęsknocie za opuszczonym, tak drogim Ci domem?»

«Jezus. Mając Go, posiadam to, co tam otrzymałam.»

«I ja także, mając Jezusa, mam ojczyznę... za którą tak bardzo tęskniłem jeszcze przed paroma miesiącami. Posiadam mego Boga. Widzisz, że nie tracę niczego, co jest mi szczególnie drogie. Wystarczy uratować Jezusa, a wtedy pozostanie nam wszystko. Nawet gdybyśmy nie mogli już nigdy więcej zobaczyć tego nieba, tych pól... ani tamtych jeszcze droższych nam w Galilei... Mając Jego, będziemy zawsze mieli wszystko. Chodź, Maryjo, już świta. Pora pożegnać się z gospodynią i załadować nasz dobytek. Wszystko będzie dobrze.»

Maryja wstaje posłusznie. Otula się płaszczem. Józef robi tymczasem ostatni pakunek i wychodzi z nim. Maryja unosi ostrożnie Dziecię, owija Je chustą i tuli do serca. Patrzy na ściany, które gościły ich przez miesiące, i delikatnie dotyka ich dłonią. Szczęśliwy to dom, bo zasłużył na miłość i błogosławieństwo Maryi!

Wychodzi. Idzie przez izbę, która należała do Józefa, i wchodzi do podłużnego pokoju. Gospodyni, we łzach, całuje Ją i żegna. Unosi brzeg chusty i całuje w czoło spokojnie śpiące Dzieciątko. Schodzą po zewnętrznych schodach.

To pierwszy brzask świtu. Niewiele widać. W tym nikłym świetle można ujrzeć trzy osły. Najsilniejszy jest objuczony dobytkiem. Pozostałe są tylko osiodłane. Józef zabiera się do przymocowania skrzyni i tobołków przy obładowanym siodle pierwszego zwierzęcia. Widzę ułożone na szczycie worka, związane w wiązkę, narzędzia stolarskie. Znów pożegnania i łzy... Potem Maryja wsiada na osiołka. Gospodyni trzyma Jezusa w ramionach, całując Go raz jeszcze, po czym oddaje Maryi. Józef także wsiada. Związał swego osła z drugim zwierzęciem, obju-





czonym bagażami, żeby móc swobodnie trzymać wodze osiołka Maryi.

Rozpoczyna się ucieczka. Betlejem zaś, śniąc jeszcze o czarownej scenie z Magami, śpi spokojnie, nieświadome tego, co je czeka.

▲ do góry

## 59. Ból był ich wiernym przyjacielem i przybierał najrozmaitsze formy i imiona

W dalszym ciągu tego samego dnia. A, 2817-2830

Mówi Jezus:

«Również i ta seria wizji kończy się. Dla pożytku i uspokojenia wymagających uczonych pokazywaliśmy ci wydarzenia, które poprzedzały Moje przyście na świat, towarzyszyły mu i następowały po nim. Uczyniliśmy to jednak nie tylko z ich powodu. Zrobiliśmy to też dlatego, że choć są to wydarzenia bardzo znane, to jednak ludzki sposób widzenia zniekształcił je różnymi elementami dorzuconymi w ciągu wieków. Zostało to jednak wybaczone, gdyż postępowano tak z chęci oddania Bogu większej chwały. Czyni to jednak nierealnym to, co jest tak piękne, gdy jest przedstawiane takim, jakim było naprawdę. W tych wizjach rzeczywistości ani Moja ludzka natura, ani człowieczeństwo Maryi nie jest umniejszone. Nie jest też znieważone Moje Bóstwo i Majestat Ojca oraz Miłość Trójcy Przenajświętszej. Dzięki tym wizjom raczej jeszcze bardziej jaśnieją zasługi Mojej Matki i Moja doskonała pokora. Dzięki nim jaśnieje dobroć wszechmocnego wiecznego Pana. Ukazaliśmy ci te wydarzenia, aby tobie oraz innym umożliwić zastosowanie w życiu tego, co jest w nich nadprzyrodzone, i dać wam je jako wzór życia.

Dekalog to Prawo. Moja Ewangelia jest nauką, która czyni to Prawo jaśniejszym dla was, a podążanie za nim – droższym. To Prawo i ta Nauka wystarczyłyby dla waszego uświęcenia. Jednakże wszyst-





ko, co ludzkie, zbytnio przytłacza w was ducha. Dlatego też nie umiecie już podążać tymi drogami. Upadacie albo też zatrzymujecie się, zniechęceni. A jeśli ktoś chce was poprowadzić, przytaczając wam przykłady z Ewangelii, mówicie mu: "Ale Jezus, ale Maryja, ale Józef (i także wszyscy święci) nie byli tacy, jak my. Oni byli mocni. Natychmiast doznawali pociechy w swym cierpieniu. Nie odczuwali żadnych pokus. Byli istotami ponadziemskimi."

Mało cierpieli?! Nie doznawali pokus?!

Przeciwnie, ból był ich wiernym przyjacielem i przybierał najrozmaitsze formy i imiona. A co do pokus...

Nie postługujcie się niewłaściwym określeniem, nazywając "pokusami" lub drobnymi uchybieniami grzechy, które sprowadzają was na złą drogę. Nazywajcie je jasno grzechami i to jeszcze – głównymi.

A gdzie jest powiedziane, że nie byliśmy kuszeni? Mielśmy oczy i uszy, które mogły widzieć i słyszeć. Szatan więc przesuwiał przed nami i wokół nas te grzechy... ukazywał brud ich działania, usiłował skusić nas swymi podejrzeniami. Jednak naszą wolą dążyliśmy usilnie do tego, aby być miłymi w oczach Bożych. Dlatego też ta obrzydliwość i podejrzliwe myśli wzbudzane przez szatana, zamiast doprowadzić do celu zamierzonego przez niego, prowadziły do czegoś przeciwnego. I tak im bardziej on się trudził żeby nas zwieść, tym bardziej My uciekaliśmy się do światła Bożego. Czyniliśmy to z powodu odrazy do błotnistej ciemności, którą nam stawiał przed oczyma ciała lub ducha.

Silne uczucia w znaczeniu filozoficznym nie były nam obce. Miłowaliśmy więc ojczyznę. Lubiliśmy nasz mały Nazaret bardziej niż każdą inną miejscowość Palestyny. Uczucie wiązało nas z domem, krewnymi, przyjaciółmi. Dlaczego nie mielibyśmy żywić do nich uczuć?

Nie pozwoliliśmy się jednak zniewolić tymi uczuciami, bo nic oprócz Boga nie może się stać panem





człowieka. Uczucia uczyniliśmy sobie naszymi dobrymi towarzyszami.

(por. Mt 2, 23, Łk 2, 39) I tak Moja Matka wydała okrzyk radości kiedy, po upływie około czterech lat, powróciła do Nazaretu i postawiła stopę w Swoim domu. Ucałowała ściany, w których wypowiedziane przez Nią "tak" otworzyło Jej łono na przyjęcie Kiełka Bożego. Józef pozdrowił z radością krewnych i bratanków, których liczba wzrosła i którzy podrośli. Uradował się widząc, że współmieszkańcy go pamiętali i zaraz zaczęli poszukiwać, z powodu jego uzdolnień. Ja byłem wrażliwy na przyjaźń i cierpiełem jakby duchowe ukrzyżowanie z powodu zdrady Judasza. I czy wynikło z tego jakieś zło? Nie, ponieważ ani Moja Matka, ani Józef nie postawili miłości do domu lub do krewnych ponad wolę Bożą.

I Ja nie byłem zniewolony przez jakieś uczucia. Dlatego, jeśli to było konieczne, nie powstrzymywałem się od słów mogących ściągnąć na Mnie nawiść Hebrajczyków i niechęć Judasza. A wiedziałem, jak można było go pozyskać i potrafiłbym to uczynić. Wystarczyłyby pieniądze, aby go Sobie podporządkować. Podporządkowałbym go jednak nie Mnie - Zbawicielowi, lecz Mnie - bogaczowi. Gdybym chciał, mógłbym rozmnażać pieniądze. Przecież rozmnożyłem chleby. Nie przyszedłem jednak, żeby dostarczać ludzkich radości - nikomu, nawet Moim wybranym. Głosiłem ofiarę, wyrzeczenie, życie czyste, zajmowanie niskich stanowisk. Czy byłbym dobrym Nauczycielem, czy byłbym Sprawiedliwym, gdybym jednemu - tylko dlatego, że byłoby to środkiem zatrzymania go - dał pieniądze dla zaspokajania żądź duchowych i fizycznych?

Wielkimi w Moim Królestwie stają się ci, którzy czynią się "małymi" (por. Mt, 20, 24-28, Mk 10, 41-45). Kto chce być "wielki" w oczach świata, ten nie jest zdatny do królowania w Moim królestwie. Jest to słoma na pośłania dla demonów. Wielkość bowiem świata kłóci się z Prawem Bożym.





Świat nazywa "wielkimi" tych, którzy prawie zawsze nieuczciwymi środkami potrafią objąć lepsze stanowiska. Aby to osiągnąć, czynią z bliźnich podnózek, na który wchodzą miażdżąc ich. "Wielkimi" nazywa się tych, którzy potrafią zabijać – moralnie lub materialnie zabijać – aby panować. Wymuszają stanowiska, zagarniają ziemię i zdobywają je dla siebie, ogoławając drugiego z bogactw osobistych lub społecznych. Świat często przestępców nazywa "wielkimi". Nie, nie ma "wielkości" w przestępstwie. Wielkość tkwi w dobroci, w uczciwości, w miłości, w sprawiedliwości. Zobaczcie waszych "wielkich", jakie zatrute podają wam owoce, zebrane w swym okrutnym demonicznym ogrodzie wewnętrznym!

Chcę jednak teraz mówić o ostatniej wizji, a nie o czymś innym, co jest tak bezużyteczne, bo świat nie chce słuchać prawdy, która go dotyczy.

Ostatnia wizja rzuca światło na szczególne zdanie, dwa razy przytoczone w Ewangelii Mateusza: "Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i udaj się do Egiptu" (por. Mt 2, 13), oraz: "Wstań, weź Dziecię i Matkę Jego i wracaj do ziemi Izraela" (por. Mt 2, 20). Widziałeś też, że Maryja mieszkała sama w Swojej izbie, tylko z Dzieckiem.

Bardzo zwalcza się prawdę o dziewictwie Maryi po urodzeniu Jezusa i o czystości Józefa. Walczą z nią ci, którzy sami są zepsuci. Nie dopuszczają więc, żeby ktoś – będący człowiekiem jak oni – mógł być uskrzydłony i posiadać światłość. To nie-szczęśnicy. Mają bowiem dusze bardzo zepsute, a umysł – bardzo zaprzędany ciału. Nie są więc zdolni pomyśleć, żeby ktoś im podobny mógł uszanować niewiastę, widząc w niej duszę, a nie ciało. Nie rozumieją, że ktoś może wznieść samego siebie do życia w klimacie nadprzyrodzonym i pragnąć w życiu nie ciała, lecz Boga.

Otóż tym osobom – które przeczą temu, co najpiękniejsze, tym gąsienicom niezdolnym stać się motylami, tym gadom, pokrytym śliną swej rozwią-





złości, tym niezdolnym do zrozumienia piękna lilii – powiadam: Maryja była i pozostała Dziewicą. Jedyne Jej dusza została poślubiona Józefowi, jak duch Jej był złączony tylko z Duchem Bożym. Dzięki Jego działaniu poczęła Jedyne Syna, jakiego nosiła – Mnie: Jezusa Chrystusa, Jednorodzonego Syna Boga i Maryi.

To nie jest jakaś tradycja, upiększona później przez pełen miłości szacunek dla Błogosławionej, która Mi była Matką. Jest to prawda, która była znana od pierwszych lat chrześcijaństwa.

Mateusz nie urodził się po upływie wielu stuleci. Żył w czasach Maryi. Mateusz nie był też naiwnym, żyjącym w lasach ignorantem, skłonny do uwierzenia w każdą bajkę. Pracował jako poborca podatków, jak powiedzielibyście dzisiaj. My zaś nazywaliśmy go "celnikiem". Umiął patrzeć, słuchać, rozumieć, odróżniać to, co prawdziwe, od tego, co nieprawdziwe. Mateusz nie usłyszał o tych sprawach od osób trzecich. Zebrał je z ust Maryi, bo miłość do Nauczyciela i do prawdy skłoniła go do postawienia Jej pytań.

Nie sędzę, żeby nawet współcześni wrogowie Maryi posądzali Ją o okłamywanie. Zresztą sami Moi krewni zaprzeczyliby Jej, gdyby miała więcej dzieci. Przecież Moi kuzyni: Jakub, Juda, Szymon i Józef byli współuczniami Mateusza. Łatwo byłoby więc sprawdzić różne wersje, gdyby było ich więcej.

Mateusz nie mówi nigdy: "Wstań i weź swoją małżonkę", lecz: "Weź Jego Matkę". Wcześniej mówi: "Dziewica poślubiona Józefowi" (por. Mt 1, 18; Łk 1, 27); "Józef, Jej mąż"... (por. Mt 1, 19)

Niech nikt nie mówi, że taki był sposób wyrażania się Hebrajczyków, jakby powiedzieć: "żona" było czymś niestosownym. Nie, przeciwnicy Czystości. Już w pierwszych słowach Pisma czytamy: "i łączy się ze swoją małżonką". Niewiasta nazywana jest "towarzyszką" aż do chwili zmysłowego dopełnienia





małżeństwa, a potem jest nazywana "żoną" – wielokrotnie i w wielu rozdziałach. I tak na przykład mówi się o żonach synów Adama. O Sarze, zwanej "żoną" Abrama, powiedziane jest: "Sara, twoja żona". I: "Weź swoją małżonkę i dwie swoje córki" – jest powiedziane do Lota. A w Księdze Rut pisze: "Moabitka, żona Machlona." W Księdze Samuela powiedziano: "Elkana miał dwie żony"; a dalej: "Potem Elkana zbliżył się do swojej żony Anny"; i jeszcze raz: "Eliasz błogosławił Elkanę i jego małżonkę"; i dalej, w drugiej Księdze Samuela, czytamy: "Batszeba, żona Uriasza Hetyty, stała się małżonką Dawida i urodziła mu syna". A co czytacie u Tobiasza, w tej lazurowej Księdze? Śpiewając z niej w czasie zaślubin Kościół doradza wam świętość w małżeństwie. Czytacie: "Otóż kiedy Tobiasz ze swoją żoną i z synem przybył..."; i jeszcze: "Tobiasz zdołał uciec wraz z synem i żoną".

W samej Ewangelii jest powiedziane, i to właśnie przez Mateusza, w rozdziale 22: "...i pierwszy, pojawiając się małżonkę, umarł i zostawił małżonkę swojemu bratu". Marek w rozdziale dziesiątym mówi: "Kto oddał swoją małżonkę...". Łukasz nazywa Elżbietę małżonką Zachariasza cztery razy z rzędu, a w rozdziale ósmym: Joannę – małżonką Chuzy. Piszący w czasach współczesnych Chrystusowi posługiwali się językiem, którego wtedy używano. Nie trzeba podejrzewać, że w Ewangeliach są błędne zmiany wynikłe z przepisywania.

Jak więc widzicie, określenie "małżonka" nie było słowem zakazanym dla tego, kto szedł drogą Pana. Nie było słowem nieczystym, którego nie godziło się wypowiadać, a jeszcze mniej – pisać tam, gdzie się rozprawia o Bogu i o Jego cudownych dziełach. Słowa anioła mówiącego: "Dziecko i Jego Matkę", wskazują wam, że Maryja była prawdziwą Matką Dziecka, ale nie była żoną Józefa. Była zawsze Dziewicą, poślubioną Józefowi.

I to jest ostatnie pouczenie dotyczące tych wizji.





To aureola jaśniejąca nad głową Maryi i Józefa: Dziewicy Nienaruszonej oraz męża sprawiedliwego i czystego. To dwie lilie, między którymi wzrastałem, odczuwając tylko woń czystości.

Tobie, Mario, mały Janie, mógłbym mówić o boleści Maryi z powodu Jej podwójnego wyrwania: z domu i z ojczyzny. Ale nie trzeba słów. Ty rozumiesz, czym to było i umierasz z tego powodu. Ofiaruj Mi swoją boleść. Tylko tego chcę. To więcej niż coś innego, co mogłabyś Mi dać. Jest piątek, Mario. Myśl o Moim bólu i o cierpieniu Maryi na Golgocie, aby móc znosić własny krzyż. Nasz Pokój i miłość pozostają z tobą.»

▲ do góry

## 60. Święta Rodzina w Egipcie

(por. Mt 2, 14-15)

Napisane 25 stycznia 1944, o godz. 24. A, 1595-1607

Słodkie widzenie Świętej Rodziny. To Egipt. Nie mam co do tego wątpliwości, bo widzę pustynię i piramidę.

Widzę jednopoziomowy, mały domek, parterowy, całkiem biały. To nędzny domek bardzo biednych ludzi. Ściany są słabo otynkowane i skąpo pobielone wapnem. Domek posiada dwoje drzwi. Znajdują się one jedne przy drugich i prowadzą do dwóch jedynych pomieszczeń, do których nie wchodzę. Stoi pośrodku niewielkiego piaszczystego kawałka gruntu, który jest ogrodzony wbita w ziemię osłoną z trzciny. Stanowi ona bardzo wątpliwą ochronę przed złodziejami, a może służyć jedynie jako zabezpieczenie przed wałęsającym się psem lub kotem. Któż jednak chciałby kraść tam, gdzie nie widać nawet cienia bogactwa?

Niewielki kawałek gruntu, otoczony płotem z trzciny, jest cierpliwie uprawiany, choć gleba w ogródku jest sucha i jałowa. Pod ogrodzeniem, ażeby uczynić je mniej nędznym i gęstszym, posa-





dzono pnącza, które wyglądają jak skromny powój. Tylko z jednej strony znajduje się krzew jaśminu, cały w kwiatach, i zwykły krzak róży. Spostrzegam skromniutkie warzywa posadzone na niewielkich, ciągnących się pośrodku ogrodu grządkach, pod wysokim pnem drzewa, którego nazwy nie znam. Rzuca ono nieco cienia na nasłonecznioną ziemię i na domek. Do tego drzewa jest przywiązana białoczarna kózka. Skubie ona i przeżuwa liście paru gałązek rzuconych przed nią na ziemię.

W pobliżu, na rozestanej na ziemi macie, siedzi Dziecię Jezus. Może mieć dwa lata, najwyżej dwa i pół roku. Bawi się kawałkami rzeźbionego drewna, podobnymi do owieczek albo koników, i kilkoma wiórami z jasnego drewna, mniej pozwijanymi niż jego złote loki. Pulchnymi rączkami usiłuje założyć naszyjniki z wiórów na szyje Swoich zwierzątek.

Jest greczny i uśmiechnięty. Bardzo piękny. Główkę ma całą w gęstwinie złotych loczków, lekko różową, jasną cerę i mocno lazurowe, żywe, błyszczące oczęta. Oczywiście ich wygląd jest teraz odmienny, ale poznaję barwę oczu mojego Jezusa: dwa przepiękne, ciemne szafiry. Jest ubrany w rodzaj długiego, białego kaftanika, który jest pewnie Jego tuniką. Rękawy sięgają łokcia. Nic nie ma teraz na nogach. Maleńkie sandały znajdują się na macie, służąc Dziecku także za zabawkę. Jezus umieszcza zwierzątka na podszwie i ciągnie sandałek za rzemień, jakby to był wózek. Są to bardzo zwyczajne sandałki: tylko podeszwa i dwa rzemyki, wychodzące od czubka palców jako jeden pasek. Na pewnej wysokości rozwidła się on na dwa oddzielne paski, po czym jeden z nich, po przewleczeniu przez znajdującą się od strony pięty pętelkę, zawiązuje się z drugim wokół kostki jak obręczkę.

Nieco dalej, z drugiej strony, ale także w cieniu drzewa, znajduje się Matka Boża. Tka na prostych krosnach i pilnuje Dzieciątka. Widzę, jak Jej białe smukłe dłonie przesuwają się tam i z powrotem,





przerzucając czótenko nad wątkiem, a obutą w sandały stopą porusza pedały. Nosi suknię w kolorze kwiatu malwy. Jest to różowawy fiolet, taki jak niektóre ametysty. Ma odkrytą głowę. Mogę więc zobaczyć, że jasne włosy są rozdzielone przedziałkiem i uczesane w dwa proste warkocz, tworzące na karku piękny kok. Rękawy – długie i raczej wąskie. Nie ma żadnej ozdoby poza Swoim pięknym i najśłodszym wyglądem. Kolor oblicza, włosów, oczu i kształt twarzy są takie same jak zawsze, kiedy Ją widzę. Tu wydaje się młodziutka. Nie dałabym Jej nawet dwudziestu lat.

W pewnej chwili wstaje i pochyla się nad Dzieckiem. Zakłada Mu sandały, zawiązując je starannie. Potem pieści Jezusa. Całuje główkę i oczka. Dziecię szczebiocze, a Maryja Mu odpowiada, nie rozumiejąc jednak Jej słów. Potem Maryja wraca do Swego narzędzia tkackiego, okrywa materiałem tkane płótno i wątek, zabiera stołek, na którym siedziała, i znosi go do domu. Dziecko wodzi za Nią wzrokiem, nie przeszkadzając Jej, gdy zostaje samo. Chyba praca przewidziana na dzisiaj jest zakończona. Zbliża się wieczór. Słońce pochyla się nad ogołocionymi piaskami, a całe niebo za odległą piramidą obejmuje istny pożar.

Maryja wraca. Bierze Jezusa za rękę i podnosi Go z maty. Dziecko wstaje bez sprzeciwu. Mama zbiera zabawki i matę i znosi wszystko do domu. Jezus zaś, drepcząc nóżkami, podbiega do kózki i kładzie jej ręce na kark. Kózka beczy i ociera pyszczek o ramiona Jezusa.

Maryja wraca. Na głowie ma teraz długi welon, a w ręku – amforę. Ujmuje Jezusa za rączkę i razem obchodzą dom dookoła, przechodząc na drugą stronę.

Idę za nimi, podziwiając scenę pełną wdzięku. Matka Boża dostosowuje krok do drobnych kroczków Dziecka, a Ono drepce u Jej boku. Widzę, jak unoszą się i opuszczają na piasek ścieżki Jego róż-





zowe piętki, ze szczególnym, właściwym dziecięcym krokom urokiem. Spostrzegam także, że Jego koszulka nie sięga stóp, tylko dochodzi do połowy łydek. Jest czyściutka i skromna, przewiązana w pasie śnieżnobiałym sznurkiem.

Widzę, że w płocie przed frontem domu jest mała prosta brama, którą Maryja otwiera, żeby wyjść na drogę. To skromna droga za miastem lub osadą. Kończy się ona w polach, tam gdzie jest piasek i jakiś inny domek, ubogi jak ten, z podobnie mizernym ogródkiem. Nie widzę nikogo. Maryja spogląda w stronę osady, a nie w kierunku piasków, jakby na kogoś czekała. Potem rusza w stronę studni, a może zbiornika, który znajduje się kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie palmowe drzewa tworzą ocieniony krąg. Widzę, że ziemia jest tam pokryta zieloną trawą.

Stąd spostrzegam zbliżającego się drogą niezbyt wysokiego, lecz krzepkiego mężczyznę. Rozpoznaję Józefa. Uśmiecha się. Jest młodszy niż wtedy, gdy oglądałam go w widzeniu przedstawiającym Raj. Może mieć najwyżej czterdzieści lat. Ma gęste czarne włosy i taką samą brodę, cerę raczej opaloną i ciemne oczy. To twarz uczciwa i ujmująca, oblicze budzące zaufanie. Widząc Jezusa i Maryję, przyspiesza kroku. Na lewym ramieniu niesie rodzaj piły i narzędzie przypominające hebel. W ręku trzyma inne, potrzebne w jego rzemiośle narzędzia. Nie są one zupełnie takie same jak obecnie, jednak bardzo podobne. Józef z pewnością wraca po wykonaniu jakiejś pracy poza domem.

Ma na sobie szatę w kolorze orzechowym i kasztanowym, niezbyt długą – sięgającą sporo powyżej kostek – z krótkimi, dochodzącymi do łokcia rękawami. Przepasany jest paskiem, który wygląda na skórzany. Prawdziwe robocze ubranie. Na nogach ma zaplecione wokół kostek sandały.

Maryja uśmiecha się, a Dziecko, unosząc wolną rączkę, wydaje radosne okrzyki. Gdy ci troje się





spotykają, Józef pochyla się, żeby podać Dziecku owoc, przypominający kształtem i kolorem jabłko. Potem wyciąga ku niemu ręce, a Dziecko puszcza Mamę i pada w ramiona Józefa, tuląc główkę do jego szyi. Jego pocałunki są odwzajemniane gestami pełnymi czułości i wdzięku.

Zapomniałam powiedzieć, że Maryja pośpiesznie zabrała Józefowi narzędzia, żeby mógł swobodnie wziąć Dziecko na ręce.

Później Józef – który przykucnął na ziemi, ażeby być na wysokości Jezusa – podnosi się. Odbiera lewą ręką narzędzia, prawą trzyma mocno małego Jezusa przy swej silnej piersi. Rusza w stronę domu. Maryja natomiast idzie do studni, aby napełnić amforę.

Wewnątrz ogrodzenia Józef stawia Dziecko na ziemi, bierze krosna Maryi i wnosi je do domu, następnie doi kózkę. Jezus wszystkiemu przygląda się uważnie. Patrzy, jak Józef zamyka kózkę w małej komórce, umieszczonej przy bocznej ścianie domu.

Zapada wieczór. Widzę, jak czerwień zachodu przechodzi w fiolet, nad zdającymi się drgać od upału piaskami. Piramida wydaje się ciemniejsza.

Józef wchodzi do domu, do jednej ze znajdujących się w nim izb, która jest równocześnie pracownią, kuchnią i jadalnią. Drugie pomieszczenie jest chyba przeznaczone do wypoczynku. Tam jednak nie wchodzi. Jest tu niskie, rozpalone palenisko, warsztat stolarski, stół, stołki, a pod ścianą – wąskie stoliki na nieliczne naczynia i dwie lampy oliwne. W kącie stoją krosna Maryi. Wszystko jest uporządkowane i lśni. Jest to bardzo ubogie, ale wyjątkowo czyste mieszkanie.

Dlatego czynię następujące spostrzeżenie: we wszystkich widzeniach, ukazujących ludzkie życie Jezusa, zauważyłam, że On sam, Maryja, Józef i Jan są zawsze czysti i staranni w ubiorze i uczesaniu. Ubierają się skromnie i są zwyczajnie uczesani, wy-





różnia ich jednak wielka schludność i wyglądają wytwornie.

Wraca Maryja z amforą i zamyka drzwi. Zmierzchnie szybko zapada. Izbę oświetla lampa, którą Józef zapalił i postawił na swoim stole, przy którym kończy jeszcze, pochylony, jakąś drobną pracę. Maryja zaś przygotowuje wieczerzę. Także ogień oświetla izbę. Jezus stoi z rączkami opartymi o blat stołu i z zadartą główką przygląda się temu, co robi Józef.

Po modlitwie zasiadają do posiłku. Oczywiście nie czynią przy tym znaku krzyża, ale się modlą. Józef wypowiada modlitewne wezwania, a Maryja odpowiada. Niczego jednak nie rozumiem. Jest to chyba jakiś psalm. Odmawiają go jednak w nie znanym mi języku.

Siadają do stołu. Lampa stoi teraz na stole. Maryja trzyma Jezusa na kolanach i daje Mu do picia kozie mleko. Macza w nim kawałeczki chleba, odebrane od okrągłego bochenka o ciemnej skórce i o ciemnym również środku. Wygląda jak chleb z żyta lub z jęczmienia. Zawiera z pewnością dużo otrębów, bo jest czarny. Józef je chleb i ser: kawałek sera i więcej chleba. Następnie Maryja sadza Jezusa obok Siebie na stołeczku i przynosi na stół ugotowane jarzyny. Wyglądają na ugotowane i przyprawione w taki sposób, jak my to robimy. Maryja je dopiero po obsłużeniu Józefa. Jezus obgryza spokojnie jabłko i uśmiecha się, odsłaniając białe zębki. Wieczerza kończy się spożywaniem oliwek czy daktyli. Nie wiem dobrze, bo są zbyt jasne jak na oliwki, a na daktyle – zbyt twarde. Wina nie ma. To wieczerza biednych ludzi. Jednak pokój, jakim się w tej izbie oddycha, jest tak wielki, że oglądanie w wizji nawet najokazalszego królewskiego dworu, nie przyniosłoby mi podobnego uspokojenia. A jaka harmonia!

Dziś wieczór Jezus nie mówi. Nie tłumaczy tej sceny. Poucza mnie darem widzenia i to wszystko. Niech będzie zawsze tak samo błogosławiony.





## 61. W tym domu szanuje się porządek

Napisane 26 stycznia 1944. A, 1607-1616

Mówi Jezus:

«To, co widzisz, jest pouczeniem dla ciebie i dla innych. To lekcja pokory, wyrzeczenia się i dobrego współżycia. Została podana jako przykład dla wszystkich rodzin chrześcijańskich, a zwłaszcza dla rodzin chrześcijańskich tego szczególnego i bolesnego czasu.

Widziałaś ubogi dom i co jeszcze boleśniesz: biedny dom w obcym kraju.

Wielu domaga się życia materialnego łatwego, pozbawionego najmniejszych trosk, szczęśliwego. Chcieliby tego, bo nie są "najgorsi": są wiernymi, którzy modlą się i przyjmują Mnie w Eucharystii. Modlą się i przyjmują Komunię św. z powodu "swoich" potrzeb, a nie ze względu na potrzeby duszy i dla chwały Bożej, gdyż nadzwyczaj rzadko modlący się człowiek nie jest egoistą.

Józef i Maryja mieli za Syna Mnie, Boga Prawdziwego. Nie posiadali jednak nawet tego skromnego dobra, którym jest ubóstwo we własnej ojczyźnie, w okolicy, w której jest się znanym. Tam przynajmniej dom byłby "ich" własnym, a myśl o mieszkaniu nie dołączałaaby się swą udręką do innych tak licznych trosk. W tej okolicy ich znano, zatem byłoby im łatwiej znaleźć pracę i zdobyć środki do życia. Oni są dwojgiem uciekinierów tylko dlatego, że Mnie mieli. Odmienny klimat, inny pejzaż – tak smutny w porównaniu ze słodkimi wioskami Galilei – obcy język, zwyczaje odmienne, przebywanie pośród ludzi, którzy ich nie znają i przejawiają zwyczajną, ludzką nieufność wobec uchodźców i nieznajomych... Pozbawieni wygodnych mebli i "ich" drogiego domku... bez tylu rzeczy skromnych i koniecznych, które tam były i przedtem nie wydawały się im tak niezbędne.





Tymczasem tu, w otaczającej ich pustce, wydają się we wspomnieniach tak piękne, jak zbyt dobre rzeczy przyjemniające domy bogaczy. Odczuwają tęsknotę za krajem i domem. Myśl ich biegnie ku pozostawionym tam ubogim rzeczom, ku ogródkowi, o który być może nikt już nie dba. Myślą o winorośli, o figowcu i innych pożytecznych roślinach. Muszą się starać o codzienny pokarm, odzienie, ogień, o Mnie - Dziecko, któremu nie można dać pożywienia, jakim sami zaspokajają głód. Odczuwają przy tym wielkie strapienie w sercu z powodu tęsknoty, niepewności jutra, nieufności ludzi niechętnych im, zwłaszcza w pierwszym okresie. Nie przyjmuje się bowiem łatwo prośby o pracę dwojga nieznajomych.

Sama jednak widziałaś, że panuje w tym domu spokój, uśmiech, zgoda oraz wzajemne porozumienie, aby go uczynić piękniejszym i aby upiększyć nędzny ogród. Chcą upodobnić wszystko do tego, co opuścili, i uczynić wygodniejszym. Mają tylko jedną troskę: sprawić, żeby ziemia była mniej wroga, mniej biedna dla Mnie, Świętego, który przyszedł od Boga. Ich Miłość wierzących i rodziców wyraża się w tysięcznych staraniach: od kozy, zdobytej za cenę wielu godzin dodatkowej pracy, do wyrzeźbienia z resztek drewna małych zabawek, po owoce kupowane wyłącznie dla Mnie, kosztem wyrzeczenia się stawy dla siebie.

Umiłowany Mój ojciec na ziemi, jakże Bóg cię miłował: Bóg Ojciec na wysokościach Niebios, Bóg Syn, który stał się Zbawicielem na ziemi!

W tym domu nie ma zdenerwowanych, nadąsanych, ponurych twarzy. Nie ma też wymówek wobec siebie nawzajem, a w żadnym wypadku - wobec Boga, który nie zapewnia materialnego dobrobytu. Józef nie wytyka Maryi, że jest przyczyną jego niedostatku, a Maryja nie wymawia Józefowi, że nie potrafi Jej zapewnić większego dobrobytu. Kochają się w sposób święty - to wszystko. Dlatego też





troszczyć się nie o własne dobro, lecz o dobro  
współmałżonka. Prawdziwa miłość nie zna ego-  
izmu. I prawdziwa miłość jest zawsze czysta, nawet  
jeśli nie jest tak doskonała pod względem czysto-  
ści, jak miłość dwojga dziewiczych małżonków.  
Czystość połączona z miłością niesie ze sobą wiele  
innych cnót i dlatego czyni z dwóch osób, które się  
kochają w sposób czysty, dwoje doskonałych mał-  
żonków.

Miłość Mojej Matki i Józefa była doskonała. Dla-  
tego też była źródłem każdej innej cnoty, szczegól-  
nie – cnoty miłości do Boga. Błogosławili Go w każ-  
dej godzinie, chociaż Jego święta wola była uciążli-  
wa dla ciała i serca. Błogosławili Go, bo ponad cia-  
łem i sercem był duch – żywy i górujący w dwóch  
świętych. On to wychwalał z wdzięcznością Pana za  
wybranie ich na stróżów Swojego Wiecznego Syna.

W tym domu modlono się. Obecnie natomiast  
zbyt mało modli się w domach. Wstaje dzień i za-  
pada noc, rozpoczynają się prace i zasiadacie za  
stołem, nie kierując żadnej myśli ku Panu. On zaś  
pozwolił wam ujrzeć nowy dzień, dożyć jeszcze  
jednej nocy. Pobłogosławił wasze trudy i pozwolił,  
by stały się środkiem do zdobycia pokarmu, ognia,  
dachu, szat, koniecznych przecież dla waszej ludz-  
kiej natury. To, co pochodzi od Dobrego Boga, jest  
zawsze "dobre". Nawet jeśli jest ubogie i znikome,  
miłość nadaje mu smak i znaczenie – miłość, która  
każe wam widzieć w Wiecznym Stwórcy kochające-  
go was Ojca.

W tym domu panuje umiar. Byłby nawet wtedy,  
gdyby nie brakowało pieniędzy. Spożywa się tu po-  
karmy, aby żyć. Nie je się po to, żeby sprawiać  
przyjemność podniebieniu, z nienasyceniem żarło-  
ków i kaprysami łakomczuchów. Oni objadają się aż  
do ocieężałości. Trwonią posiadłości na kosztowne  
uczty, nie poświęcając ani jednej myśli temu, kto  
ma mało pokarmu lub jest go całkowicie pozba-  
wiony. Nie zastanawiają się nad tym, że przez swój





umiar mogliby odjąć wielu osobom dotkliwy głód.

W tym domu miłuje się pracę. Nawet wtedy by ją miłowano, gdyby pieniędzy było pod dostatkiem. Pracując bowiem człowiek okazuje posłuszeństwo nakazowi Boga. Wyzwala się również z grzechu, który jak nieustępliwy bluszcz ściska i dusi leniwców podobnych do nieruchomych głązów. Jedzenie smakuje, wypoczynek cieszy i serce jest zadowolone, gdy ktoś dobrze pracował i raduje się czasem wytchnienia między jedną pracą i drugą. Grzech o wielorakich obliczach nie zakorzenia się w domu i w umyśle tego, kto kocha pracę. A ponieważ on się nie zakorzenia, rozkwita uczucie, poważanie, wzajemny szacunek i wzrastają, w czystej atmosferze, młode pędy, stając się zaczątkiem przyszłych świętych rodzin.

W tym domu panuje pokora. Jakaż to lekcja pokory dla was, pysznych! Maryja mogłaby mieć, patrząc po ludzku, tysiące powodów do chętnienia się i do wymagania uwielbienia od małżonka. Ileż kobiet to czyni, bo są nieco bardziej wykształcone lub pochodzą z bardziej szlachetnego rodu albo mają trzos bogatszy niż mąż. Maryja jest Małżonką i Matką Boga, a mimo to nie każe się obsługiwać, lecz służy małżonkowi i jest pełna miłości do niego. Józef jest głową domu. Bóg uznał go za tak godnego bycia głową rodziny, że jemu powierzył pieczę nad Słowem Wcielonym i Oblubienicą wiecznego Ducha. A jednak chętnie niesie ulgę Maryi w trudach i pracach. Nie tylko wykonuje on najbardziej pokorne zajęcia domowe, aby Maryja się nie przemęczała, ale – jak może i na ile może – podnosi Ją na duchu. Trudzi się też, aby dom uczynić dla Niej wygodnym i aby ogródek stał się bardziej radosny dzięki kwiatom.

W tym domu szanuje się porządek: nadprzyrodzony, moralny, materialny. Bóg jest Głową, Istotą Najwyższą. Jemu oddaje się cześć i On jest kochany. To porządek nadprzyrodzony. Józef jest głową





rodziny i jemu należy się uczucie, szacunek i posłuszeństwo. To porządek moralny. Dom jest darem Bożym, podobnie jak szaty i meble. We wszystkich sprawach ukazuje się Opatrzność Boża, opieka tego Boga, który zapewnia sierść owcom, ptakom – pióra, trawę – łąkom, siano – zwierzętom, ziarno i liście – ptactwu. Ten Bóg tka też szatę dla lilii w maju. Dom, szaty, meble przyjmuje się więc z wdzięcznością, błogosławiąc rękę Boga, która tego dostarcza. Traktuje się wszystko z szacunkiem jako dar Pana. Nie patrzy się na różne przedmioty ze złością, dlatego że są biedne. Nie obchodzi się z nimi źle, nadużywając Opatrzności. To porządek materialny.

Nie rozumiałaś słów wypowiedzianych w dialekcie nazaretańskim ani słów modlitwy. Jednak to, co widziałaś, było dla ciebie wielkim pouczeniem. Rozważajcie to, o wy wszyscy, którzy teraz tak cierpicie z powodu uchybiana wobec Boga w wielu sprawach. Uchybiacie między innymi w tym, w czym nigdy nie uchybili święci Małżonkowie, którzy byli Mi Matką i ojcem.

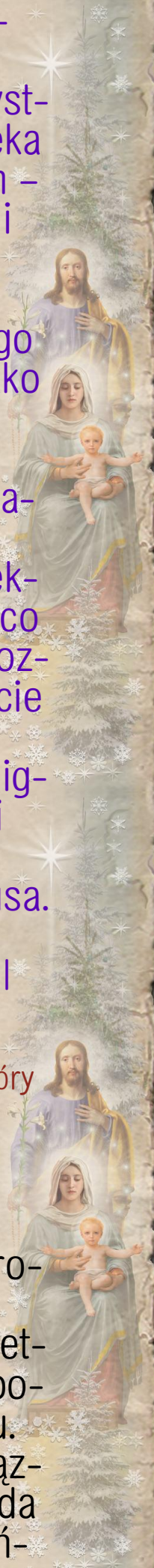
A ty rozkoszuj się wspomnieniem małego Jezusa. Uśmiechaj się, myśląc o Jego dziecięcych kroczkach. Wkrótce zobaczysz Go idącego z krzyżem. I będzie to wizja łez.»

▲ do góry

## 62. Pierwsza lekcja pracy Jezusa

Napisane 21 marca 1944. A, 2345, powtórzone: 2349

Widzę mojego Jezusa. Pojawia się – jak miły promień słońca podczas deszczowego dnia – jako mały Chłopiec: jasnowłosy, śliczny, około pięcioletni, w skromnej niebieskiej szacie, sięgającej do połowy zgrabnych łydek. Bawi się ziemią w ogródku. Usypuje z niej kopczyki i wtyka w nie zielone gałązki, żeby wyglądały jak miniaturowe krzaczki. Układa drogi z kamyczków, a potem usiłuje u stóp maleń-





kich pagórków zrobić jeziorko. Bierze stare naczynie i zakopuje po brzegi, po czym napełnia je wodą zaczerpniętą z kadzi przy pomocy dzbanka. Kadź służy zapewne do prania albo do podlewania ogródka. Mały Jezus niewiele jednak osiąga. Moczy sobie tylko szatki, zwłaszcza rękawy. Woda wycieka bowiem przez wyszczerbione, a może pęknięte denko i... jeziorko opróżnia się.

We drzwiach staje Józef i przez pewien czas, z uśmiechem i w milczeniu, przygląda się pracy Dziecka. Widok ten faktycznie skłania do radosnego uśmiechu. Potem woła Go, żeby Mu nie pozwolić więcej się zamoczyć. Jezus odwraca się z uśmiechem. Widząc Józefa, biegnie do niego z rozpostartymi ramionami. Józef wyciera pokryte piaskiem i mokre rączki w kraj krótkiego roboczego ubrania i całuje je. Zaczynają miłą pogawędkę.

Jezus wyjaśnia swą zabawę i pracę, opowiadając, jakie napotyka przeszkody w wykonaniu jej. Chciał zrobić takie jezioro, jak Genezaret. (Domyślam się, że albo Mu o nim opowiadano albo Go tam nawet zaprowadzono). Zamierzał zbudować takie małe jeziorko... dla zabawy... Tu była Tyberiada, tam Magdala, a dalej Kafarnaum. To była droga, która prowadzi do Nazaretu przez Kanę. Chciał puszczać małe łódki po jeziorze:

«...te listki to łódki służące do przepłynięcia na drugi brzeg, ale woda wycieka...» – kończy opowiadanie Jezus.

Józef przygląda się. Okazuje takie zainteresowanie, jakby chodziło o rzecz poważną. Potem proponuje, że jutro robi jeziorko, ale nie z wyszczerbionego naczynia, lecz z małego, drewnianego. Dobrze pokryje je smołą i Jezus będzie mógł spuszczać na wodę prawdziwe drewniane łódeczki, które Józef nauczy Go robić. Właśnie przyniósł Mu małe narzędzia, odpowiednie dla Niego, żeby z łatwością mógł nauczyć się nimi posługiwać.

«W ten sposób będę ci pomagał!» – mówi Jezus z





uśmiechem.

«Pomożesz mi i zostaniesz świętym stolarzem.  
Chodź zobaczyć narzędzia.»

Wchodzą do pracowni. Józef pokazuje Jezusowi młoteczek, małą piłę, malutkie śrubokręty i dziecięcy hebel. Wszystko leży ułożone na stoliku warsztatowym początkującego stolarza. Stolik jest dostosowany do wzrostu małego Jezusa.

«Popatrz, żeby piłować, deskę układa się i opiera się ją w ten sposób... Tak bierze się piłę... trzeba uważać, żeby nie skaleczyć palców... i piłuje się. Spróbuj...»

Zaczyna się lekcja. I Jezus, czerwony z wysiłku, uważnie piłuje, zaciskając wargi. Potem wygładza deseczkę heblem. Chociaż jest jeszcze trochę krzywa, wydaje Mu się ładna. Józef chwali Go, ucząc pracować cierpliwie i z miłością.

Wraca Maryja, która była zapewne poza domem. Staje we drzwiach i patrzy. Obydwaj nie widzą Jej, bo są odwróceny tyłem. Mama uśmiecha się, widząc zapał, z jakim Jezus hebluje, i życzliwość Józefa, który Go poucza.

Jezus z pewnością wyczuwa ten uśmiech. Odwraca się, a widząc Mamę, biegnie do Niej z na wpół wygładzoną listewką i pokazuje ją. Maryja podziwia i schyla się, żeby pocałować Jezusa. Poprawia Mu splecione loki, wyciera pot ze zgrzanej twarzy. Słucha z czułością, jak Jezus obiecuje zrobić stołeczek, żeby Jej było wygodniej podczas pracy. Józef stoi przy maleńkim warsztacie, z ręką przy boku, i patrzy z uśmiechem.

Widziałam pierwszą lekcję pracy mojego Jezusa. Noszę w sobie cały pokój tej świętej Rodziny.

▲ do góry

## 63. Nie chciałem w sposób wywołujący rozgłos wyłamywać się spod praw wieku

W dalszym ciągu tego samego dnia. A, 2349-2355





Mówi Jezus:

«Pocieszyłem cię, Moja duszo, wizją Mojego dzieciństwa szczęśliwego w ubóstwie, bo otoczonego uczuciem dwojga świętych. Świat nie ma większych od nich.

Mówi się, że Józef był Moim żywicielem. O, chociaż jako mężczyzna nie mógł dawać Mi mleka, którym żywiła Mnie Maryja, jednak wyniszczał siebie samego w pracy, aby zapewnić Mi chleb i wsparcie. Miał też delikatność uczuć prawdziwej matki. Od Niego nauczyłem się – a nigdy uczeń nie miał nauczyciela lepszego – wszystkiego, co zamienia dziecko w mężczyznę... i to w mężczyznę, który musi zarabiać na chleb.

Chociaż Mój rozum Syna Bożego był doskonały, należy rozmyślać nad tym i wierzyć w to, że Ja nie chciałem wyłamywać się, w sposób budzący rozgłos, z reguł rozwoju właściwych danemu okresowi życia. Dlatego – uniżając Moją doskonałą umysłowość Boga do poziomu ludzkiej doskonałości umysłowej – podporządkowałem się nauczycielowi – człowiekowi i potrzebowałem tego nauczyciela. Mając dobrą wolę uczyłem się szybko. Jednak nie odbiera to zasługi ani Mnie, ani Mojemu nauczycielowi. Mnie – bo pokornie podporządkowałem się człowiekowi; człowiekowi sprawiedliwemu – Józefowi – bo karmił Mój dziecięcy rozum pojęciami koniecznymi dla życia.

Drogich godzin spędzonych u boku Józefa – który, jakby w zabawie, prowadził Mnie do tego, żebym potrafił pracować – nie zapominam nawet teraz, kiedy jestem w Niebie. Tu w Niebie patrzę na Mojego przybranego ojca i widzę ponownie ogród oraz zadymioną pracownię. Wydaje Mi się, że zobaczę ukazującą się Mamę z Jej uśmiechem, który ozłaca to miejsce, a nas czyni szczęśliwymi.

Ileż powinny się nauczyć rodziny od tych doskonałych małżonków, którzy darzyli się taką miłością, jaką nikt inny się nie kochał!





Józef był głową. Bezsporny i bezsprzeczny był Jego autorytet w rodzinie. Przed nim ustępował pełen szacunku autorytet Małżonki i Matki Boga i jemu podporządkowywał się Syn Boży. To, co Józef zadecydował, było wykonywane dobrze, bez dyskusji, zawziętości czy sprzeciwu. Jego słowo było naszym małym prawem. Pomimo to był tak bardzo pokorny! Nigdy nie nadużywał władzy, nigdy nie pragnął niczego wbrew rozsądkowi, dlatego tylko, że był głową. Małżonka była jego słodką doradczynią. W Swojej głębokiej pokorze uważała się za służebnicę współmałżonka. On jednak z Jej mądrości Pełnej Łaski czerpał światłość, która stawała się przewodnikiem we wszystkich wydarzeniach.

Wzrastałem jak kwiat osłaniany przez dwa potężne drzewa, między tymi dwiema miłościami, które się spletały nade Mną, aby Mnie strzec i kochać.

Nie, nie żałowałem Raju, kiedy wiek sprawiał, że nie znałem świata. Bóg Ojciec i Boski Duch byli obecni, bo Maryja była Ich Pełna. I aniołowie mieli tam siedzibę, bo nic ich nie oddalało od tego domu. Można by rzec, iż jeden z nich przyjął ciało i był Józefem. Miał on bowiem duszę anielską, wyzwoloną z ciężaru ciała i zajętą tylko służeniem Bogu i Jego sprawie oraz miłowaniem Go tak, jak kochają serafini. Spojrzenie Józefa! Spokojne i czyste jak u gwiazdy nieświadomej ziemskich pożądliwości. Był Naszym wytchnieniem, Naszą siłą.

Wielu sądzi, że Ja nie cierpiałem po ludzku, kiedy śmierć zgasła to spojrzenie Świętego, czuwające nad naszym domem. Myślą oni, że nie cierpiałem z powodu jego odejścia, bo jako Bóg znałem przyszły szczęśliwy los Józefa. Po krótkim pobycie w Otchłani miałem mu otworzyć Niebo. A jednak jako Człowiek płakałem w domu pozbawionym obecności pełnej miłości. Płakałem nad zmarłym przyjacielem Łazarzem. Czyż więc nie miałem płakać nad Moim świętym, na którego piersi spałem jako małe dziecko i od którego przez tyle lat doznawa-





łem miłości?

Zwracam wreszcie uwagę rodziców na to, że bez pomocy wykształcenia pedagogicznego Józef potrafił uczynić Mnie rzetelnym rzemieślnikiem. Gdy tylko osiągnąłem wiek, w którym mogłem posługiwać się narzędziami – nie pozwalając Mi na bezczynność – nakłaniał Mnie do pracy. Z Mojej miłości do Maryi uczynił sobie pierwszą pomoc, aby zachęcić Mnie do pracy: robić przedmioty użyteczne dla Mamy. Oto jak się wpaja należy mamie szacunek, który każdy syn powinien posiadać. Na tym pełnym szacunku i miłości bodźcu opierało się uczenie na przyszłego stolarza.

Gdzież teraz są rodziny, w których wpaja się dzieciom miłość do pracy, przez którą można zrobić coś miłego dla rodziców? Dzieci są obecnie tyranami domu. Wzrastają, twarde, obojętne, ordynarne wobec rodziców. Uważają ich za swoje sługi... za swoich niewolników. Nie kochają ich i są przez nich mało kochane.

To przez waszą haniebną nieobecność i brak zainteresowania stają się kapryśnymi despotami. Dzieci należą do wszystkich, tylko waszymi nie są, o rodzice dwudziestego wieku! Należą do piastunki, do wychowawczyni, do prywatnej szkoły z internatem, jeśli jesteście bogaci. Jeśli jesteście biedni, należą do kolegów, do ulicy, do szkoły. Ale nie są wasze. Wy, matki, rodzicie je i to wszystko. Wy, ojcowie, postępujecie podobnie. Dziecko jednak nie jest samym ciałem. Jest też umysłem, jest sercem, jest duchem. Uwierzcie, że nikt bardziej niż ojciec i matka nie ma obowiązku i prawa do kształtowania tego umysłu, tego serca, tego ducha.

Rodzina istnieje i powinna istnieć. Nie ma teorii lub jakiegoś pozornego postępu, który – przeciwstawiając się tej prawdzie – nie wywołałby zniszczenia. Z rozbitej instytucji rodzinnej mogą wychodzić tylko przyszłe kobiety i przyszli mężczyźni coraz bardziej zdeprawowani i wywołujący coraz





większe nieszczęścia. I zaprawdę powiadam wam, że lepiej byłoby, gdyby nie było już więcej małżeństw ani potomstwa na ziemi, zamiast rodzin zjednoczonych mniej niż szczepy małą, rodzin nie będących szkołą cnoty, pracy, miłości, religii, lecz chaosu, w którym każdy żyje dla siebie, jak tryby, które źle się zazębiają i pękają.

Łamcie, rozrywajcie, a... Widzicie zresztą i znosiście skutki waszego rozbijania najbardziej świętej formy życia społecznego. Jeśli chcecie, róbcie to nadal. Nie użalajcie się jednak, jeśli ta ziemia staje się coraz bardziej piekłem, siedzibą potworów, które pożerają rodziny i narody. Chcecie tego i tak będzie.»

▲ do góry

